

# TYGODNIK ILLUSTROWANY



ORKA

J. BIERNACKI

## WŁADYSŁAW STUDNICKI: ZAGADNIENIA POLITYKI NARODOWEJ.

Przed dwudziestu kilku laty ukazała się pierwsza praca p. J. Milewskiego: „W sprawie utrzymania ziemi w naszym ręku, w Poznaniu w 1834 r.”

Młody uczony, syn zasłużonego na polu oświatowym działacza narodowego w Ks. Poznańskim, rozpoczął swój zawód naukowy od rozważania sprawy, od której zawisło utrzymanie naszego bytu narodowego w zaborze pruskim. Dwadzieścia prac prof. Milewskiego, jakie się ukazały od r. 1834 do 1909, z małym wyjątkiem, jak np. „Kwestya socjalna w Anglii”, wydana w 1893 r., lub „Reforma prawa spadkowego w Niemczech”, są poświęcone zagadnieniom polityki gospodarczej, naszych dzielnic dotyczącej. Ale i w tych pracach, w których pisał o stosunkach obcych, pisał, aby wyciągnąć wniosek dla sprawy odpowiedniej u nas. Tym duchem obywatela

polskiego są owiane i teoretyczne prace prof. Milewskiego: „Budżet i kredyt publiczny” (Kraków 1897 r.), oraz dwutomowa „Polityka ekonomiczna”, opracowana wspólnie z prof. Czerkowskim.

Były profesor wszechnicy krakowskiej, były poseł do parlamentu wiedeńskiego, obecnie jeden z najwybitniejszych posłów sejmowych Galicji, dyrektor Banku Krajowego, najważniejszej instytucji gospodarczej Galicji, znajduje czas na znakomite wykłady skarbowości na uniwersytecie lwowskim i znalazł czas na napisanie dzieła o zagadnieniach polityki narodowej.

Książka prof. Milewskiego została prawdopodobnie wywołana poczuciem jego, że „w ciągu ostatnich kilku lat pogorszyło się położenie polskiego społeczeństwa we wszystkich trzech zaborach”.

Autor zastanawia się nad polityką rządu pruskiego, która, nie zadowolając się wyparciem języka polskiego ze szkoły, sądu, urzędu, targa się na ograniczenie go w kościele i na zgromadzeniach publicznych; ani rezultatem walki o ziemię, popartej 200-milionowymi funduszami, ustawą o osadnictwie i szykanami władz administracyjnych, uciekła się do ustawy o wywłaszczeniu.

„Z różowych nadziei, jakie żywiono w Królestwie w epoce pierwszej Dumy, nie pozostało nic”. Wspomina o ograniczeniu polskiego przedstawicielstwa i twierdzi, że „stosunki znów weszły w fazę, w której o zdobyciach nie można myśleć prawie, tylko o dalszych szkód i strat obawiać się trzeba i unikać”. W zaborze austriackim uderza go upadek znaczenia przedstawicielstwa polskiego w parlamencie, wywołany reformą wyborczą,



która obciążała Koło polskie znaczną ilością posłów do pracy parlamentarnej niezdolnych. Niepokoi go wrogi i zaborcze względem nas stanowisko Rusinów, separatyzm Litwinów, syonizm i nacyonalizm żydowski. Proces wynarodowienia, zdaniem jego, podrywa trwale nasze granice na wschodzie, na zachodzie i północy. Stan gospodarczy nasz wzbudza też niepokój w uczonym ekonomiście: „Podani pod różne systemy cłowe, nie mamy i mieć nie możemy jednolitego kierunku gospodarczego rozwoju, nie mamy praktycznej wspólności interesów, narażeni jesteśmy na wytwarzanie się między nami antagonizmu interesów, sprzeczne gospodarcze dążności, co niszczy jednolitość myśli i działania, utrudnia ogólny postęp gospodarczy” (str. 27).

Emigracja zarobkowa, słaba kapitalizacja i znaczne obdłużenie—oto objawy gospodarcze ziem naszych, które niepokoją prof. Milewskiego; Galicya jest dla niego polem obserwacyjnym tych objawów.

„Utraciliśmy byt polityczny przez brak politycznego zrozumienia. Brak zrozumienia, brak świadomości, co robić i jak robić można i trzeba, wywołuje bezradność lub działanie naoślep, opóźnia konieczny zbawczy czyn, a dopuszcza nieopatrzne czyny, błędne środki i drogi, przez co stopniowo osłabia siły, utrudnia warunki, pogarsza położenie. Prawdą to jest dla wszystkich dziedzin i stosunków życia. Prawda ta odnosi się i do nas. Zagrożony byt nasz narodowy utrzymać, rozwinąć, lepszą przygotować przyszłość, zdołamy tylko, gdy krzewienie politycznego zrozumienia, świadomości narodowej i politycznej skutecznie będzie podjętem. A na to nam potrzeba nauki narodowej polityki” (str. 44). „Podstawowem jej zagadnieniem jest kwestya istoty narodu. Zachowanie istoty narodu rozstrzyga o jego bycie, a gdy utrzymanie bytu, utrzymanie życia narodu jest naszym celem i zadaniem, naszym obowiązkiem i prawem, przeto zbadanie istoty narodu daje nam wskazówkę co do najważniejszych celów polityki narodowej”—powiada prof. Milewski w dalszym ciągu swej pracy. Kwestya istoty narodu zajmuje autora i dział książki poświęcony jej jest najlepszą częścią książki.

Autor nie zadowala się statystycznymi określeniami narodowości, jakie przytacza u licznych pisarzy swoich i obcych, omawiających pojęcie narodu, lecz zgodnie z nowszą metodą naukową wyjaśnia istotę narodowości przez jej genezę.

„Každy stan społeczny jest rezultatem i fazą rozwoju, na tle badania rozwoju można też najlepiej zdać sobie sprawę z istoty tego stanu”. „Narody są wytworem historii. Są to większe zrzeszenia ludzi, mające szereg spraw i celów wspólnych, ożywione świadomością swej zbiorowej indywidualności i chęcią jej zachowania, a osiadłe na jednej ziemi”.

Pierwsze zrzeszenia zdaniem prof. Milewskiego opierać się musiały na związkach krwi. Obok tego występowały czynniki, bezpośrednio z faktu współżycia grupy ludzi wynikające, a więc język, zwyczaje, idee religijne. Występuje walka z przyrodą o warunki i środki życia, w wysokim stopniu wpływa też konieczność zszeregowania się w celu wspólnego działania, mianowicie w celu obrony przeciw wrogom. Musimy tu zaznaczyć, że potrzeba obrony przeciw wrogom lub ich najazd wytwarza organizację państwową i państwo jest retortą, w której urabia się naród. Profesor Milewski nie neguje też państwa, jako czynnika narodowo-twórczego. Po-

wiada on: „Czynnikiem, ułatwiającym powstanie i utrwalającym istnienie narodowości, jest niezależny byt polityczny, własne państwo. Wytwarza to szereg czynników, popierających rozwój wszechstronny, wzbogacający treść właściwości narodowych (ustawodawstwo), wytwarza rękojmię obrony przed obcym wpływem, wplata w życie narodowości fakty i wspomnienia wielkich wspólnych zadań, wspólnych celów i czynów, tworzy zbiorową rodziną historię i tradycję. Sposób prowadzenia polityki i administracji, treść ustaw, wymiar sprawiedliwości, finansowa gospodarka, organizacja wojskowa mają wpływ na stosunki, na życie, na charakter, wytwarzają



Prof. Józef Milewski.

szereg swoistych rysów, przygotowują wyrobienie indywidualności narodowej” (str. 157 i 158).

Twierdzenie to jest słuszne, możeby tylko należało je jeszcze wzmocnić przez zwrócenie uwagi na to, że wszystkie narody urabiały się przez samodzielny byt państwowy i z utratą tego bytu rozpoczynał się proces zaniku narodu, rozpoczynający się od zaniku jego wyższych warstw. Organiczny związek narodu z państwem czyni naród pojęciem politycznym, nie zaś etnograficznym tylko. Przez samodzielność państwową naród nabiera poczucia swej równorzędności z innymi narodami i urabia pojęcie owej zbiorowej godności, która jest, zdaniem naszym, najszlachetniejszą częścią istotnych pierwiastków narodu.

„Świadomość czyni—powiada prof. Milewski—z narodowości naród. *Cogito ergo sum*—można słusznie i o narodzie powiedzieć. Z chwilą, gdy przywiązanie do swej narodowości i zrozumienie swej osobnej narodowej indywidualności przechodzi w stan świadomości, z tą chwilą istnieje już nie tylko narodowość, lecz istnieje naród” (str. 157). „Realne znaczenie świadomości, jako czynnika, tworzącego naród, warunkowane jest przez dostateczną liczbę ludzi, nią przejętych, oraz przez posiadanie własnej ziemi. Stąd też można i te dwa czynniki uznać za składowe żywioły istoty narodu. Podobnie przeto, jak mówi znawca prawa politycznego, że na pojęcie państwa składa się rząd, ludność i kraj, tak powiedzieć można, że na pojęcie narodu składa się: świadomość narodowa, ludność i kraj. „Obok myśli i uczucia zawiera świadomość narodowa w swej treści i wolę, a mianowicie wolę utrzymania swej indywidualności, oraz pełniejszego jej wyrobienia, wolę zdobycia dla niej warunków” (str. 159.)

Problemat, gdzie i w jaki sposób szukać dla narodu naszego bytu państwowego, nie zajmuje autora. Twierdzi on, że „nas żadne szczęśliwe obecnie nie czekają konstelacje polityczne świata”. Twierdzenie to autor rzuca gośłownie, i jest ono wielce ryzykownem wobec zachwianej równowagi politycznej świa-

ta. Gdy dawniej tylko wschód europejski wywoływał w jednych nadzieje, w innych niepokoje wojen europejskich, dziś mamy obok wschodu europejskiego wschód azyatycki, jako czynnik zmiany równowagi politycznej, w imperialistycznych dążnościach poczęta konstytucja japońska realizuje marzenie Japończyków, dała im już Koreę i przewagę w Azji wschodniej; mamy zapowiedź konstytucji, też ze względu na potęgę państwową, mającej być nadaną w Chinach, kryzys państwowy, wywołany konstytucją i porażką w Rosji, rozkład przyspieszony konstytucji w Persji, niepewna przyszłość konstytucyjnej Turcji, zapowiedź zmiany mapy Europy przez ruch wszechniemiecki, antagonizm angielsko-niemiecki. Wchodzimy w okres najróżnorodniejszych konstelacji i możliwości politycznych dla bliższej względnie przyszłości, i odwrócenie od nich myśli narodu może wyrządzić mu znaczną szkodę. Lecz tyle nadziei było już zawiedzionych, tyle środków z arsenału polityki dało nam przedewszystkiem wspomnienie bólu i okaleczeń się, że wytwarza się w narodzie naszym jakaś starcza bojaźń przed myślą o wielkich wypadkach dziejowych, w których będziemy musieli wziąć udział.

Nie stawiając zagadnienia restytucyjnego, prof. Milewski stawia właściwie, jako program, osiągnięcie *minimum* strat i *maximum* korzyści z warunków politycznych, w jakich nas postawiły dzieje. „Istniejący w państwach rozbiorowych ustrój władz i ustawy tworzą ramy, wśród których objawia się cała nasza działalność. Ale ten ustrój, ani te ustawy nie odpowiadają nam w zupełności i często są wprost przeciw nam wydane i zwracane, i były i są przykłady, że te t. zw. ustawy to nie wyraz prawa, lecz jedynie w paragrafy ujęty wyraz siły, zwracający się przeciwko nam z ideą przesładowania i tępienia; to też uzasadnionem i uprawnionem naszym dążeniem jest i być winno staranie się o zniesienie zwróconych przeciwko nam wszelkich praw i instytucji wyjątkowych” (214 str.).

Zwiększenie sfery działalności państwa w naszych warunkach, wedle słusznej uwagi prof. Milewskiego, jest niebezpieczne. Cóż jednak pozostaje nam czynić w sferze politycznej? Prawa wyjątkowe przeciwko nam nie znoszą się, ale zdradzają tendencję rozplenienia się, i współczesne państwo zwiększa sferę swych wpływów i na swe cele zwiększa swój udział w dochodzie narodowym. Zalecano nam lojalizm względem państw rozbiorowych, zarzucenie konspiracji. Rady te powtarza prof. Milewski, ale już nie twierdzi, jak to czynili jego poprzednicy, że to da nam równouprawnienie, poszanowanie naszej indywidualności narodowej. Nie twierdzi, bo oto kilkadziesiąt lat lojalizmu Poznańczyków jakie dały rezultaty! Cóż pomogły lojalne deklaracje posłów naszych w trzeciej Dumie? Liczba lojalnych członków Rady Państwa za ich pochodzenie polskie przepołowiona. Prof. Milewski zaleca pracę organiczną. Naród nigdy nie może jej się wyzbyć, jak człowiek nie może wyrzec się swych naturalnych procesów; ale coż znaczy praca organiczna w walce o ziemię wobec ustawy o wywłaszczeniu?

Wyjścia nie widać,—wyjście trudno odnaleźć ze współczesnego położenia naszego. Świadomość warunków bytu narodowego, oraz o nich decydujących czynników staje się potrzebą pierwszorzędną. O krzewieniu świadomości politycznej mówi autor w swej pracy i zaleca wytworzenie instytucji, upowszechniającej wiedzę polityczną w narodzie naszym.



## ARCHANIÓŁ



J. BIERNACKI

KAZ. PRZERWA-TETMAJER:

## Bez co sie świeńci dostali na kępe.

NA SKALNEM PODHALU. V.

Béto dwok hłopów i mieskali przy wodzie, jedén z jednéj strony, a drugi z drugiej; ten, co bét na prawo, to sie nazywał Kuba Jamrozik, a ten na lewo Wawrzek Bieńkowski.

A to béto przy wsi, kajsi koło Białego Dónajca.

Ci hłopi mieli gróna koło wody, proci sobie. Kie wody sły, na wiesne, to abo jednemu urwało, a drugiemu przycyniło, abo temu zaś urwało, a hańtemu darowało.

Miał kazdy z tyk dwok gazdów po świentym, z drzewa wyrzezanym: Kuba miał świentego Jantoniego, a Wawrzek świentego Jacka.

Kie woda sła, powódz od Tater, to sie oba modlowali: Jamrozik pytał: Ha, świenty Jantoni, urwijze tys Wawrzekowi, a mnie przycyń, a Bieńkowski zaś wołał: Świenty Jacku, ślicny, piękny, kieby tys Kubowi ubyło, a mnie przyrosło!...

He, cos, prziseł taki rok, co i Kubowi i Wawrzekowi urwało.

Idzie Kuba ku świentemu Jantoniemu, co na półce stał: je cos to robis?!

A Wawrzek samo to we swoim domu. Pošli po rade, oba wraz, do starego pustelnika, co w lesie nieobdalno mieskał. Pustelnik pokiwał głowom i pada im:



STUDIUM

J. BIERNACKI

— Moi ślicni piękni, świeńci tys musom uwazować, coby do kłopotu pomiędzy sobon nie przišli. Jeden drugiemu na despet nie fce zrobić.

Hébaby musieli w pośrodku rzeki stać, coby sprawiedliwie wode dzielili.

— Hy—pada Jamrozik—to nie trudno. Jest hań kępa na samym środku.

— No to ig hań wyniesmy—pada Bieńkowski.

— Nawet im będzie weselój, bo bedom wroz.

Wynieśli tyk świentyk i postavili pod daskiem, coby na nig nie lało.

— No i jako béto?

— Jako béto? Sprawiedliwie świeńci dzielili: zakiel \*) Kuba i Wawrzek pomarli, kazdemu do równości po półtora morga gruntu urwało.

— No wicie! Co świenty rozum, to świenty!

— Zydyć to! Nie biadkał juz zoden, ba \*\*) se przykwołali, jako im ten pustelnik dobrze poradziéł. Dziś ta jakiesi tamy bijom, cosi kajsi, wode ucom, coby wiedziała, jako ma iść, a drzewiej to se hłop wiedział i ze świentemi sam poradzié, i Pon Bóg go nie opuściéł.

— Nie opuściéł...

\*) Zanim.

\*\*) Ale.



## Kazimierz Gliński i jego Królewska Pieśń.

Królewska Pieśń!... złoty, wymarzony, wytęskniony sen poety... I nie wyśpiewany. Tak się zdawało przynajmniej. Dzwoniła nam w uchu melancholijna skarga: od lat tylu trzymam nad strunami rękę wyciągniętą...

I oto naraz sen skrzydlaty bierze na się ciało i barwy i staje pośród nas.



Kazimierz Gliński.

Prawda, ziszczenie się zapowiedzi jest tylko cząstkowe. Mamy przed sobą poemat olbrzymi, około 14 tys. wierszy, a przecież to zaledwie pierwsza księga marzonej „Pieśni o królach”; książkę zaś takich miało być dwaście...

Można tu uczynić uwagę, iż zamiar podobny, obiektywnie biorąc, najpewniej niewykonalny, jest sam przez się wielce charakterystyczny. Któryż z romantyków, czy to większych czy mniejszych, nie miał swoich „Dziadów”, lub „Komedyi Nieboskiej”, zamieniającej się w „Poemat nie dokończony”, swego „Beniowskiego” lub „Króla Ducha”, w ułamkach na zawsze rozpierzchniętych, swojej „Złotej Dumy”, nigdy nie wyśpiewanej? A Gliński jest wśród nas zapóźnionym romantykiem.

Był zwłaszcza takim wśród pokolenia pozytywistów i realistów. Jego gest szeroki, na wzór Lamartina, oddala go od współczesnych cyzelerów i poszukiwaczy najdrobniejszych drgnień duszy, lecz jakże czuć się musiał obcym w atmosferze tego pokolenia, wśród którego rozwijać się miała jego twórczość w pełni jego pieśniarskiego żywota! Była to przede wszystkim obca mu atmosfera duchowa trzeźwości, ostrego, nieubłaganego sądu w stosunku do puścizny dziejowej, ścisłe rozmiernienie ruchów w stosunku do przyszłości i do chwili bieżącej... Jego epos królewski wyplwał nie tylko z uwielbienia dla dawnej chwały, lecz również powstał, jako odruch przeciwko dążnościom doby. Z jaką goryczą i boleścią w przygrywce do swojej „pieśni gromowej bojowych chrzęstów, mieczowego zgrzytu” wspomina tę chwilę, kiedy jeszcze „krwi opary snuły się nad tą ziemią umęczoną, i ofiarnicy bładzili, jak mary” — „a ponad nimi grzmiał sąd”; kiedy „rodził się świat nowy trzeźwych rozumów, serc bez ognia”; kiedy „miłości wielki szal wzięto za zbrodnię”, a „rodził się nowy świat—nie z naszych gruntów”. Miękką naturą poety nie czuła w sobie wojowniczego usposobienia; lecz jakże głęboko w piersi mu zapadła gorycz! Z jakim umiłowaniem wpatrzony jest w białość anioła swej Polski! Z jaką wiarą chce wydobywać z lutni swej dźwięki mosiężne, by wstrząsnąć dusza-

mi tych, którzy pod całunem drzemią! I ten zamiar tyrteuszowy staje się myślą przewodnią dzieła. Oto jest jeden z pierwiastków dzieła, i zarazem jedno ze świadectw autora o sobie, o jego umiłowaniu, o jego świecie idealnym.

Spójrzmy teraz, w jaki sposób autor zamiar swój chce urzeczywistnić.

Daje on nam, jak się rzekło, pieśń, pełną „bojowych chrzęstów, bojowego zgrzytu”. Na widowni zmagają się olbrzymy. Wypełnia ją gwar, powietrze przeszywają błyskawice, i wstrząsają je grzmoty, akcja przemienia się w zewnętrzny ruch mas. Obrazy odznaczają się wielką barwnością i plastyką, niekiedy cokolwiek jednostajną — jest to wspomniany szeroki gest lamartinowski. W tej dekoracyjności łatwo dostrzedz rozkochania się poety w blaskach, odgadnąć stan duszy wrzącej, oczarowanej na zawsze wielkością, co tak właśnie zbliża Glińskiego do romantyków. W jakim przecież stosunku ten gwar i ruch pozostaje do idei wewnętrznej dzieła?

Nie chodziło poecie o kronikę. Dowodów są namacalne. Przecież to Lech, mistyczny założyciel państwa, bohater przeszłości przeddziejowej, staje się tu współczesnym historycznemu Geronowi. Jeżeli przystaniemy na wiek X, niemniej dziwić się nam wypadnie, iż naraz znaleźliśmy się w obliczu rycerstwa krzyżowego, iż obejmuje nas atmosfera wytwornego obyczaju rycerskiego i miłosnej poezji trubadurów i minnesingerów. Na jakikolwiek szczegół zwrócimy uwagę, widoczne barw pomieszanie i niedbałość o koloryt historyczny czy archeologiczny uprzedzi nas, że autor, mimo jaskrawość barw użytych i plastykę kształtów, w dziele swem do przedmiotowego trybu tworzenia zbliżyć się nie mógł, że realistą być nie chciał. Wierzy w intuicję bardziej, niż w badanie i odtwarzanie. Większą dlań ma wartość wewnętrzną treść wypadków, drogą poetycznego jasnowiedzenia ujawniona, niż same wypadki, które chciałby uczynić realnymi jedynie dla wyobraźni. Jest to w zasadzie romantyczny punkt widzenia. Tak Słowacki pragnął z Balladyny uczynić mimo tysiące anachronizmów królową Polski. Świadomie poeta używa gwałtownych skrótów, świadomie wprowadza szczegóły, mające

symboliczne znaczenie. Przecie oto błyskawicznie pod przewodem Lecha spokojna czereda rolników i pasterzy przekształca się w zwarte i karne szeregi rycerzy, okrywających pierś stalą i władających wprawnie mieczem. Taki jest widmowy obraz wiekowego procesu dziejowego. A gdy waży się szala wyroków Bożych, patrzcie tam, kędy się ukazało czarodziejskie zjawisko, Winnilda, jak „posąg królewski, żywy *duch Germanii*”.

Lecz z niebios Boży wyraz grzmi: Zagłada!

Winnilda patrzy nieruchoma, blada,  
W źrenice oczu wszystkie gromy zbiera...  
Popłoch! ucieczka! to jej świat zapada—  
Tryumf Lechowy! to jej Bóg umiera...

I posąg zadrżał, zachwiał się i—runął...  
Dumna, namiętna, gwałtowna Winnilda znajduje antytezę w cichej, bolesnej, dającej siebie na ofiarę Bożennie... Dusza gołębiczy, dusza



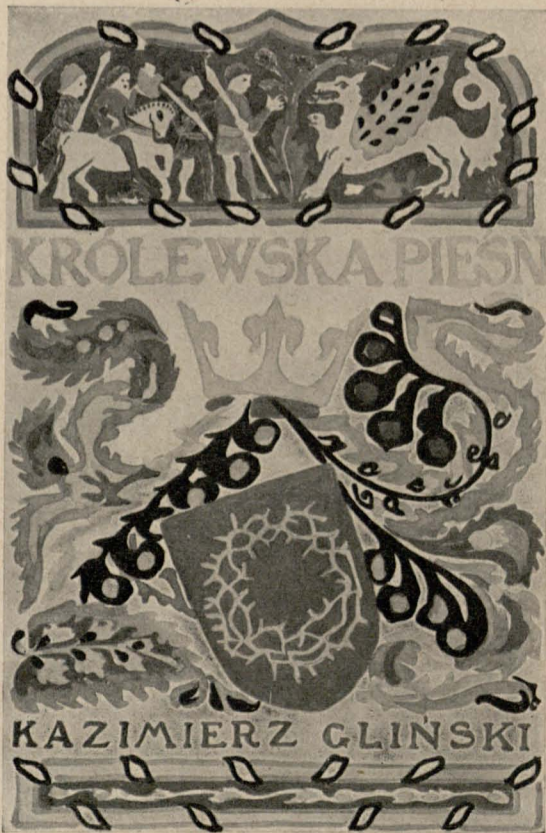
Bożenna wśród łąk.

Ilustracja do „Królewskiej pieśni”. Rys. W. Barwicki.

Lilli, a miłość Rozy Wenedy... Siostra Lecha staje naprzeciwko córki geronowej...

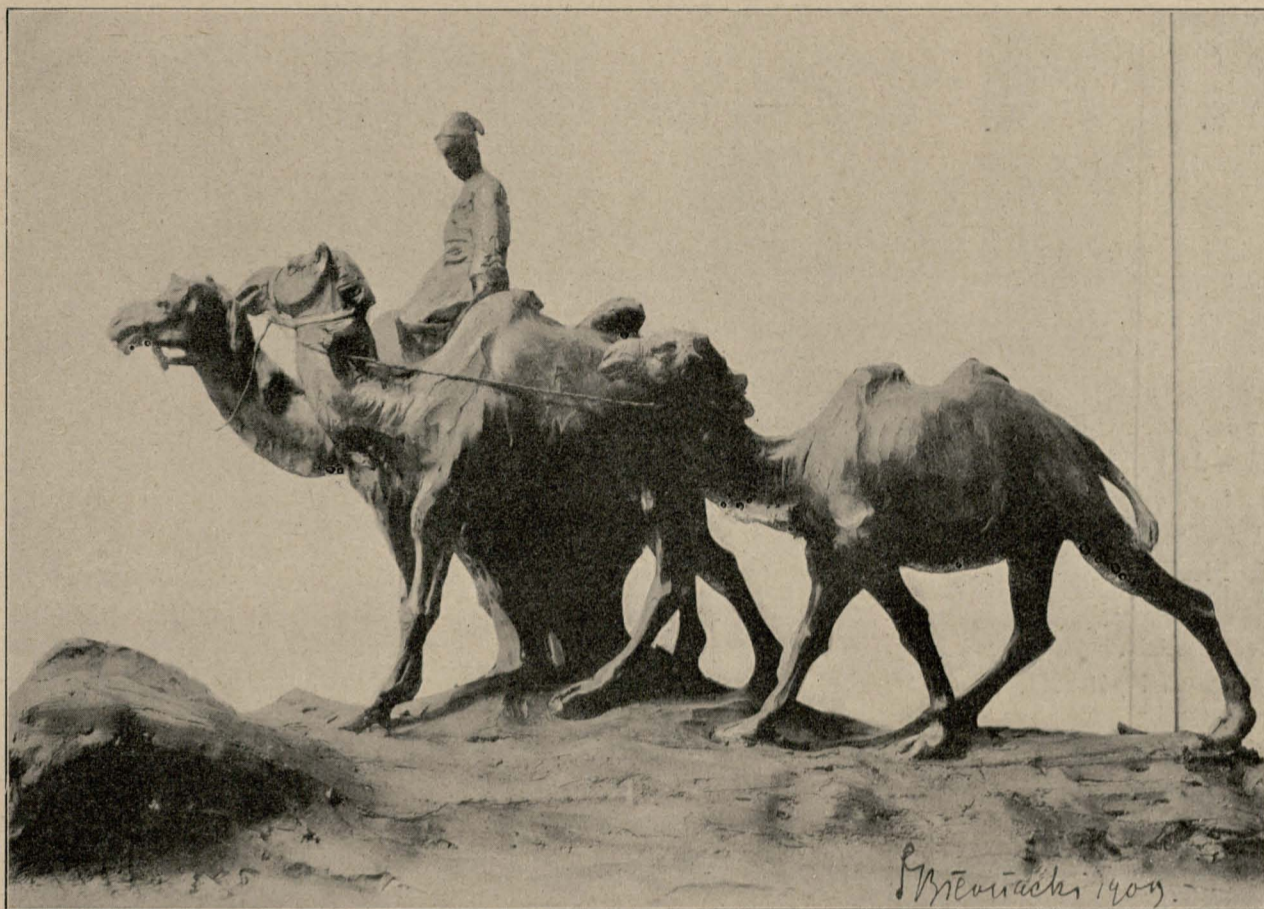
A zatem symbole... Jaką jest ich mowa? Nie poddadzą nam zapewne epeicznej wizji świata lechowego, zbyt ogólnikowe są zresztą barwy, ale sprawią, iż staniemy się widzami tytanicznej walki spokojnego plemienia Polan z najeżdżcą, świadkami wykuwania świetnej doli narodu i zarazem przetwarzania się duszy narodowej, której zaszczerpiono nieznaną jej dotąd jad nienawiści. To jest ogniskowy punkt, rzucający światło na ludzi i ich czyny w bohaterским poemacie. I jeżeli jeszcze nam czegoś brak, jeżeli oglądamy się za czem, to chyba za tą nicią, któraby snuć się miała po przez wszystkie rapsody i księgi królewskiego eposu. Gdzie ją znajdziemy? Czy nie tam, kędy „szarżują sukmany bez tarcz, bez zbroic, bez napierśnic żadnych”? Kędy pod ciosami Waligóry i gromad chłopskich pada w proch złota gwardya geronowa? Świetny i ostry miecz Lecha, lecz siłę weń tchnęła moc ludu... Czy i tu nie słyszymy akcentów pieśni tyrteuszowej?

Jeżeli z kolei uwagę naszą pochłoną osobiste losy bohaterów i dzieje ich serc, spostrzeżemy zjawisko, analogiczne do powyżej zaznaczonego: do wyobraźni poety przemawia nade wszystko urok potęgi i wielkości w złem czy w dobrem, tak w dziedzinie uczuć, jak w za-



Winieta tytułowa do „Królewskiej pieśni”. Rys. J. Bukowski.





WIELBLĄDY

J. BIERNACKI

kresie zmagają się dwu światów plemiennych. Stąd namiętności, druzgocące pierś, w której znalazły siedlisko, stąd kolizje tragiczne i bezlitosne, nieubłagane rozwiązanie węzłów, w które się oplątały ludzkie uczucia, wole i życia. Pociąga to za sobą ten skutek, że tkanina powieściowa staje się jeszcze barwniejszą, jeżeli to możliwe, bardziej wzorzystą. Akcenty mocy i grozy nieraz wzbudzą dreszcz. Mimo to, muszę wyznać, nie wszystko mi tu zadowala. Znęcanie się Winnildy nad Świętochną, siostrą Lecha, posiada koloryt wprost melodramatyczny i nie sprawia wrażenia prawdopodobieństwa ani ze względu na pobudki, ani też ze względu na sytuację zewnętrzną. Nie dość, że Winnilda staje się z rycerskiej dziewczicy wściekłą dziewczką, ale nadto scena ta dziwnie mętne rzuca światło na postać Germana Williga, możnego grafa, którego pomoc wysoko ceni margraf Gero, a który w tym wypadku zachowuje się nie jak rycerz, lecz jak tchórz i jak pacholek, pozbawiony czci rycerskiej.

Pomijamy dwie inne postacie niewieście; Świętochny i Bożenny, obie niezbyt wyraźne; zwrócimy tylko uwagę, że ofiara Bożenny nie tłumaczy się dość jasno.

I męskie postacie nie zawsze są bez zarzutu. Lech jest raczej symbolem, niż człowiekiem, żyjącym na swój własny rachunek. Na plan pierwszy wysuwają się Mszczuj i Gero. W sytuacji Lecha i w stosunku jego do Mszczuja z łatwością rozpoznajemy motyw Konrada Wallenroda.

Mszczuj to w jednej osobie Halban, któremu wzrostu przymnożono, i Konrad, któremu wzrostu ujęto. Chwilami Mojżesz-cudotwórca, przemawiający proroczym głosem Króla-Ducha, aż naraz mag i mściciel kurczy się w karła, na którym cierpię skóra ze strachu, i umęcza wrogów nie grozą, lecz nieznośnem

gadulstwem. Zresztą nie umotywowane jest jego ukazanie się. Postać chybiona.

Jeżeli jednak zamilowanie silnych efektów okupić musi autor brakiem pogłębienia psychologicznego i brakiem złudzenia prawdy, przyznać to musimy, że i to nawet, co w stosunku do dzieła odczuwamy, jako rys ujemny, jest przecież konsekwencją ogólnej psychicznej organizacji autora. Po dawnemu wzbudza podziw i zazdrość swym młodzieńczym rozmachem i zapalem, swą wiarą nie gasnącą w wielkość ducha ludzkiego, w potęgę sił, które duch ten z siebie wyzwala; po dawnemu z uznaniem skłaniamy głowę przed idealistą, któremu się marzą wielkie boje Ormuzda z Arymanem i zwycięstwo ducha światłości. Piękne wizye! I oto jeszcze raz odwracamy się w tę stronę, gdzie się usuwa żywoty posąg złych mocy, i płomień słoneczny uplotły wieniec złocisty nad głową zwycięzcy.

A. DROGOSZEWSKI.

WŁADYSŁAW BUKOWIŃSKI:

## Z poematu p. t. „ECHA”.

PIEŚŃ X.

Olbrzymi słońca krąg w purpurze  
Krył się za niezmierzone piaski,  
Gdy Beduini, grobów stróże,  
Zbudzili mnie dzikimi wrzaski  
Z zadumy: „Czas już z piramidy  
Powracać!”—krzyczą czarne gidy.

Czas wracać! Tak się kończą zawsze  
Sny piękne, tak się wszystko kończy...  
Słońce, od krwawej róży krwawsze,

W obłoków znikło już opończy.  
Na Wschodzie szybko noc zapada...  
Musimy wracać—trudna rada!

Spojrzenie tęskne rzucam jeszcze  
Na Egipt, Nil, pustynię... Srodze  
Serce szarpnęło coś, jak kleszcze,  
I z synem starszym zwolna schodzę  
Z góry, co proch Cheopsa gniecie.  
Młodsze Arab niósł na grzbiecie.

I tak z powagą na dół kroczy  
Wyprawa cała. Na spotkanie  
Wybiegły ku nam drogie oczy...  
Dostrzegł je Adry niespodzianie,  
Co na Arabie drobną plamą  
Błyszczał, i krzyknął z dumą: „Mamo!

Już idę, idę, czekaj na nas!”  
Tak krzyczał z pleców, jak z rumaka,  
Ten pięcioletni nasz ananas,  
Którego kiedyś, niby ptaka,  
Od Miramare na pół drogi  
Chciał porwać *borra*, wicher srogi.

Gwieździsta, wschodnia noc zapada.  
Gdzieś wdali błysły rogi złote  
Miesiąca. Wkrótce—wśród gwiazd stada—  
Ponad postynią legł, tęsknotę  
I melancholię budząc w duszy...  
On to zapewne kapeluszy

Modnych rój szybko tak rozpędza...  
Robi się ciszej u piramid:  
Popłynie rażniej marzeń przedza,  
Gdy strojny jedwab i aksamit



Z Baedekerami, lornetkami  
Zniknie—i gdy zostaniem sami.

O samotności, marzeń pani!  
Jak często, w dni powszednich  
młynie,  
Brak ciebie duszę dręczy, rani.  
Przybywam oto na pustynię,  
By w twych objęciach skąpać ducha,  
Który z rozkoszą ciebie słucha.

Obrzydł mi gwar jarmarczny świata,  
Gdzie się, jak liczman, duch wyciera.  
Zbrzydła, obmierza już—do kata!—  
Kabaretowa atmosfera,  
Gdzie brak uniesień i zapału,  
Gdzie święte tchnienie Ideału

Szyderczy tylko uśmiech budzi..  
Dość mam pół-pragnień i pół-celów  
I dość pół-życia i pół-ludzi.

Raz jeszcze bodaj na Aryelów  
Skrzydłach, co w górze już łopocą,  
Wzniesić się, odetchnąć z dawną mocą!

Raz jeszcze czuć, jak czują ludzie,  
Raz jeszcze być naprawdę sobą!  
Niech inni w miast więziennym brudzie  
Pół-operetką, pół-żałobą,  
Pół-prawdą, pół-udaniem żyją,  
Ja—drogą nie chcę iść niczyją.

Ach, jak daleko już przebrzydła  
Komedia życia i niewola!  
Szumią nade mną wiatru skrzydła,  
Gadają do mnie piasku pola,  
Zakrakał orzeł gdzieś nade mną,  
Z piramid lecąc w przestrzeń ciemną.

I noc, i cisza upragniona,  
A w niej gwieździsto-lazurowy  
Anioł wyciąga swe ramiona,  
By dotknąć mej strudzonej głowy,  
By zbliżyć mnie i bratniem łonem  
Otulić—bodaj raz przed zgonem.



Pod Piramidami.

O, mów ty do mnie przy miesiąca  
Blasku, o mów, aniele ciszy!  
Jak w arfę, wiatr w twe skrzydła trąca,  
Noc lazuruwa czarem dyszy,  
Gwiazdy—przedwieczne złocą kości...  
O mów, aniele samotności!

O, mów ty do mnie wspomnień echem,  
Lecących od mej cichej wioski.  
O, mów radosnym dziecka śmiechem,  
Gdym z Matką czytał pierwsze zgłoski  
I pieśni pierwsze i—w podzięce—  
Całował drogie, święte ręce...

O, mów ty do mnie tym odgłosem  
Młodzieńczych marzeń i uniesień,  
Choć im nie dano złotym kłosem  
Zabłysnąć, choć je życia jesień  
Rozwiała, kirem omroczyły  
Przedwczesne druhów mych mogiły.

O, mów upojeń pierwszych czarem,  
Co niosły duszę pod niebiosa...  
O, mów szumiących drzew rozgwarem,  
Z których splotywała srebrna rosa  
Na kołysane szczęściem głowy  
W pamiętny wieczór ów majowy.

O, mów ty do mnie niepamięci  
Głosem o dni powszednich męce—  
I—niech się jeszcze dzień twój święci,  
Niech nieraz jeszcze twej piosence  
Zawdzięczam czar, co dzisiaj gości  
W duszy, aniele samotności!

Lecz czas w egipskie wrócić kraje,  
Gdzie, w księżycowym blasku  
skąpan,  
Przedemną oto cicho staje  
Sfinks, nocnych rojeń niezły kompan,  
Który (Maspero to rozstrzyga)  
Czterdzieści wieków blisko dźwiga

Na barkach. Ciężar to nielada,  
Nie dziwię się, że w piasek wrasta,  
I że mu twarz się krzywi blada  
W księżycu świetle. Pół-niewiasta,

Pół-lew, straszdyło jakieś boże,  
Lecz takich—dziś się już nie trwożę.

Niewiasty uśmiech tajemniczy  
I ten sam niby, a wciąż nowy  
Czar. Lew nie rusza się, nie ryczy,  
A jednak—bestya!—wciąż gotowy  
W sercu zatopić ci pazury.  
Na szczęście wziął je piasek bury,

Jak więźnia powróz, w swoje pęta,  
Lub, jak za dawnych dobrych czasów,  
Grzesznika inkwizycya święta.

Inaczej uciekłyby do lasów  
Palmowych—że to Egipt przecie—  
Lecz przedtem dobrze ząb w twym grzbiecie

Zanurzył, krwawą w nim pieczętkę  
Żłobiąc, co czasem i niewiasta  
Potrafi zrobić na pamiętkę...

Lecz—uwięziony sfinks i basta!  
Więc ci tymczasem krwawe gony  
Nie grożą wcale z jego strony.

Spokojnie w jego patrz oblicze,  
Zranione w jakiejś walce wrażej.  
Kto wie! To piętno tajemnicze



Krajobraz z nad Nilu.



Aleja sfinksów w Karnaku.



## RZEŹBY JANA BIERNACKIEGO.



Pomnik Mikołaja Glinki.



Portret artysty-malarza Bogdańskiego.



Pomnik Aleksandra Makowieckiego.



Dziewczynka. Studium.

Na zagadkowej sfinksy twarzy  
Wycisnął może swymi kłami  
Jakiś ból straszny przed wiekami

Na widok, że na pięknej ziemi  
Dzieje się pono niezbyt pięknie,  
Że brata brat szponami swemi  
Szarpie, dopóki brat choć jęknie,  
I że w ten sposób, godny kata,  
Ludzkość tysiące lat się brata.

Nadejdzie czas—w to wierzę święcie!  
Że z tajemniczej sfinksy twarzy  
Haniebne bólu te pieczęcie  
Ustąpią. Czas, o którym marzy  
Ludzkość i który wciąż się zbliża,  
Lecz—straszna drogą mąk i krzyża.

Zabłyśnie dzień, może daleki,  
Lecz dzień ten wielki błysnąć musi,  
Gdy ci, co męki cierpią wieki,  
Ci, których szarpie kat i dusi,  
Dla których jeden Bóg obrońca,  
Dożyją strasznych mąk swych końca.

Nie będzie katów ani wrogów,  
Nie będzie braci-gnębicieli.  
Ludzkość się cała—nakształt bogów—  
Zmieni, podniesie, rozanieli...  
Szkoda, że przedtem nasze oczy  
Zje piach, a serca robak stoczy.

Na tem się kończy „Ech” część pierwsza,  
Z formy, z pomysłu rzecz nienowa,  
Ale ze szczyrych przenajszczyrsza.  
Jeśli nie znudzi cię osnowa  
Tych prostych strof, mój czytelniku,  
Choć w nich ci znajdą wad bez liku,—

To znowu może cię powiodę  
Przez pustyń piach, przez błękit morza,  
Może znów wspomnim lata młode  
I w marzeń wlecim wraz przestworza,

By czarem ich upoić dusze.  
Teraz—pożegnać cię już muszę.

Bądź zdrow! Z raz chociaż wspomnij o tem,  
Czem zabarwiałem dni mych ciszę.  
Inni do ciebie piórem złotem  
Przemówią, ja—najprostszem piszę,  
I czasem tylko w serca warze  
Stalówki koniec trochę zmażę.

Nasławice, 14 VIII, 1909 r.

BOLESŁAW PRUS:

## Nasze obecne położenie.

KRONIKA TYGODNIOWA.

IV.

Tę kruchość naszego społeczeństwa, tę rozbieżność jego rozmaitych czynników odczuwamy wszyscy, a najbardziej w ostatnich czasach, kiedy niesumienne prowadzone walki stronnictw wywołały powszechne rozdrażnienie i nienawiści. Czasami wydaje się, że patrzywszy na rozkład społeczny, ale... w jakiz sposób przeciwdziałamy podobnym zjawiskom?

Dla przykładu zwróć uwagę na dwie „sprawy”: pierwszą będzie kwestya żydowska. Z wyjątkiem *Roli*, która systematycznie nękała Żydów, rozumie się, bez skutku, prasa na ogół zachowuje się wobec nich obojętnie. Tylko, od czasu do czasu, dzięki jakiemuś nie-taktowi ze strony Żydów, w tej lub owej gazecie następuje wybuch. Wtedy przypominamy sobie żydowski separatyzm, żargon podobny do niemczyzny, polityczne operacje Żydów w Poznańskiem i na Litwie, potracamy o lichwę, handel kobietami i tym podobne grzechy śmiertelne i powszednie i—upominamy Żydów, aby się poprawili. Ponieważ jednak zapominamy wyznaczyć terminu owej poprawy, a i sami nie dajemy przykładu, więc wszystko zostaje po dawnemu, aż do następnego wybuchu.

Ze swej strony Żydzi, gdy już uspokoili się papierowe gniewy, lubią wysyłać do chrze-

ścijan ambasadorów celem zasięgnięcia języka o następujących kwestjach: 1-mo. Czy Polacy będą głosowali za dopuszczeniem Żydów do rad miejskich w stosunku ich zaludnienia? 2-do. Czy kooperatywy, zawiązywane przez chrześcijan, nie zaszkodzą ludności żydowskiej? Nie przychodzi im do głowy, że Polacy sami ulegają ograniczeniom nawet silniejszym w niektórych sprawach, aniżeli Żydzi, i że, kto dla siebie żąda równouprawnienia ze strony Polaków, ten chyba powinienby przyznać i ze swej strony równouprawnienie Polakom. Ale o tem separatystyczny ogół żydowski nie myśli.

Zdaje się, że Renan powiedział: dobry Żyd należy do najlepszych wśród ludzi; zły—prześciga najgorszych.

Zobaczmy najpierwej—dobrych, poznajmy zalety żydowskie, które może każdy sprawdzić osobistym doświadczeniem, lecz, niestety! nie każdy chce fatygować się podobnymi drobiazgami.

A więc spotykamy wśród Żydów ogromną ruchliwość, bardzo często nadzwyczajną pracowitość, dalej—cierpliwość, wytrwałość, kontentowanie się małym zyskiem, punktualność, szczególnie w interesach pieniężnych, zapał, przedsiębiorczość, szybkie orientowanie się w sytuacji, spostrzegawczość, znajomość czytania, pisanie i rachunków. Obok tego silne uczucia rodzinne i narodowe żydowskie, pobożność, wrażliwe współczucie, litość dla nieszczęśliwych. Niemniej zasługuje na uwagę ich wstrzemięźliwość (kto widywał Żydów pijanych?) i poczucie godności. Żebraków żydowskich prawie nie spotykamy, a znam wypadki, że Żyd czy Żydówka, bardzo ubodzy, nie chcieli przyjąć datku...

Nareszcie między Żydami, już ucywilizowanymi, trafiają się ludzie niepospolitych zdolności. Miewają oni poglądy, ogarniające wiele kwestyi, rozumieją najwyższe ideały i umieją głęboko sięgać w duszę ludzką. Nie zapominajmy wreszcie, że Żydzi (aczkolwiek nie ci, na których patrzemy!) są twórcami Starego i Nowego Testamentu, że pewna liczba ich uwieczniła się w historii cywilizacji i że dwaj żydzi: Marx i Lassal, należą do ojców potężnego dziś ruchu socjalistycznego. Oto zalety Żydów, z których nawet nie



wszystkie wymieniałem. Z kolei zobaczymy te ich cechy, które dla innych społeczeństw są niewygodne, jeżeli nie wręcz szkodliwe. Taką cechą zasadniczą, taką przyczyną wszystkich zatargów między innymi narodami a Żydami jest—ich kamienny egoizm nacyonalistyczny. Żydzi znają przykazanie: kochaj bliźniego, i bodaj czy nie praktykują go lepiej, aniżeli chrześcijanie; lecz dla ogromnej większości ich „bliźnim” jest przede wszystkim albo nawet i — tylko — współwyznawca... Zresztą wolę w tym miejscu zacytować słowa Żyda, co prawda, jednej z najpiękniejszych postaci ogólnie ludzkich...

„Że przez lat tyle, rozrzućeni po utracie niezależności państwowej, przetrwali, nic w tym dziwnego, ponieważ od wszystkich narodów tak dalece się odłączyli, że jedynie nienawiść wszystkich na siebie ściągnęli, i to nie tylko przez sposób życia, zupełnie odmienny od sposobu życia innych narodów, ale i przez znak obrzezania, którego się ściśle trzymają. Że nienawiść narodów wielce ich podtrzymuje, doświadczenie uczy... Jeżeli podstawy religii ducha ich nie zmiękczą, to zupełnie wierzyłbym, że oni kiedykolwiek, korzystając z okoliczności, rzeczy bowiem ludzkie są tak zmiennne, swoje państwo jeszcze raz odbudują”... (Spinoza, przez Ignacego Radlińskiego).

Nie wiem, azali Żydzi wybudują kiedy państwo terytorjalne; to wszakże jest pewne, że i dziś, i oddawna tworzą oni państwo duchowe, którego granicami są przepisy religijne, a którego spistość wewnętrzna jest bodaj czy nie najsilniejsza ze wszystkich, jakie znamy w historii. Dla uspołecznienia żydowskiego trudno znaleźć nazwiska. Czem ono jest?... narodem, kastą, zakonem?... Ale organizacja istnieje i wyróżnia się np. wśród nas językiem, odzieżą, mieszkaniem, żywnością, widokami politycznymi i mnóstwem innych cech, które Żyd prawowierny (a tworzą oni przynajmniej 95 proc. ogółu) pielęgnuje z całą świadomością celów i skutków. Ghetta, czyli krańcowej odrębności żydowskiej, nie stworzyli chrześcijanie: ono jest samodzielnym i dobrowolnym utworem Żydów.

Wobec tej silnej organizacji, odznaczającej się energią, inteligencją, przebiegłością i wytrwałością, nasze uspołecznienie wygląda, niby mokra glina, którą można mieszać, krajać, dziurawić, nawet wyrzucić. Żydzi zdobyli u nas handel wewnętrzny, zagraniczny i przewozowy; opanowały nieruchomości miejskie; biorą się do rzemiosł, i tylko patrzeć, jak będą wykupywali majątki ziemskie. No, a w rezultacie, co się z nami stanie?... Wzajemnie za równouprawnienie w Królestwie, które tylko sankcjonował Wielopolski, ale przyznał im cały naród pod wpływem serdecznego entuzjazmu, wzajemnie za równouprawnienie — cóż otrzymaliśmy od Żydów? Trochę inaczej ubierają się dziś, aniżeli przed pół wiekiem, ponieważ... rząd obcinał im pejsy i średniowieczne chałaty. Ale nawet żargonu (który przypomina im, że zostali z Niemiec wygnani) nie tylko nie zastąpili językiem polskim, lecz (przynajmniej niektóre ich partie) zamieniają go na czysty język niemiecki.

Stosunek niektórych grup żydowskich do Polaków jest nie tylko niegodziwy, ale wprost—



ŻYDZI ZA POGRZEBEM PIĘCIU POLEGŁYCH

Z Albumu A. GROTTGERA

nieprzyzwoity. Prawie w tej samej chwili, kiedy liberałowie żydowscy, drwiącym tonem, w imię rycerskości żądają od Polaków, aby głosowali za zupełnym równouprawnieniem Żydów w radach miejskich, w tej samej chwili, „litwacy” odegrywają rolę rasyfikatorów u nas, nawet obrażają nas, a Żydzi poznańscy wręcz głoszą, że zawsze walczyli przeciw Polakom w interesie Niemców... No, i naturalnie upominają się o łapówkę.

Dla zupełności tego ohydneho obrazu, niektóre partie czy grupy Żydów nie cofają się przed pogroźkami, a nawet czynami. Polskim sklepom kooperatywnym Żydzi nie chcą wynajmować mieszkań w swoich domach; młynarze — Żydzi roszczą pretensje wyłącznego prawa dzierżawienia wszystkich młynów w kraju; inni domagają się, ażeby muzykantów-Żydów koniecznie przyjmowano do orkiestr polskich i t. d.

Nie będę mnożył przykładów. Na Żydach sprawdza się starorzeczny aforyzm: „Pojeńczy senatorowie—dobrzy ludzie, cały senat—złe bydło”.

Organizacja żydowska ta, jaką widzimy w naszym kraju, jest zacošana i nie zasługuje na sympatię umysłów szczerze liberalnych. Już wspominałem, że istnieją trzy stopnie uspołecznienia: życzliwość dla ludu, życzliwość dla narodu i życzliwość dla cywilizacji. Otóż Żydzi prawowierni u nas znają tylko jedną formę uspołecznienia: swoją narodowość; lekceważą zaś prawa jednostki (choćby co do przechodzenia na inne wyznanie), lekceważą sąsiadów i, używając łagodnego wyrazu, nie tolerują cywilizacji. Takie stanowisko nie ma przyszłości; taki tryb życia społecznego możliwy jest tylko wśród polskiej gliny czy polskiego masła.

O sprawie żydowskiej możnaby pisać tomy; w niniejszym szkicu jest ona zaledwie

dotknięta. Pominąłem np. kwestyę Żydów asymilowanych, czyli takich, którzy, nie zmieniając wyznania, przyjęli cywilizację i są lub stają się Polakami. Ponieważ między „nimi” a „nami” nie uznają żadnej różnicy, więc nie będę wypisywał pustych czułości, lecz zapytam:

— Prawda, jesteście dobrymi współobywatelami, jesteście naszymi braćmi. Ale powiedzcie: mieliście kiedy powód żałować waszego stanowiska? Czy obrażaliśmy kiedy wasze wyznanie, czy lekceważyliśmy wasze dzieje żalosne, czy gasiliśmy wasze zdolności, czy odmawialiśmy praw, jakie sami posiadamy, czy jak najgłośniejszej nie uznawaliśmy waszych zasług społecznych?

Wracam do Żydów nieprzejednanych. Narzekają oni na upośledzenie. To prawda, oni są upośledzeni—w państwie, ale nie wobec nas, Polaków. Wobec nas posiadają oni przywileje, o których ciągle się zapomina: 1-mo. Mają swój samorząd gminny, do którego nigdy nie mieszał się żaden Polak; 2-do. Posiadali i posiadają mnóstwo, ale to mnóstwo stowarzyszeń ekonomicznych, filantropijnych, oświatowych; 3-io. Prawie każdy Żyd umie czytać, pisać i rachować, dzięki szkółkom elementarnym, które Żydzi w swoim języku mają, a jakich nam mieć nie wolno; 4-to. W razie konkurencji z chrześcijanami nie robią sobie ceremonii, t. j. nie dopuszczają do współ-

zawodnictwa, bojkotują, doprowadzają do bankructwa i jeszcze w niebogłose narzekają na ucisk!

Innymi słowy, w wyścigu o dobrobyt, dzięki zakazom, które spadały na nas, a nie dotyczyły ich, Żydzi mieli i mają ogromną przewagę. To też już dziś prawie cały handel, całe płynne bogactwo narodu, znajduje się w ich rękach.

— Mimo to wszystko—zarzucą mi—Żydzi w tym kraju są bardzo nieszczęśliwi, cierpią nędzę...

Prawda. Mnóstwo Żydów nie wie zrana, czem nakarmi siebie i swoje nieszczęśliwe dzieci w południe; nędza popycha ich do występków, nawet haniebnych i niebezpiecznych, ale... co myśmy temu winni? Żydów jest u nas stanowczo za wielu, pięć albo i dziesięć razy za wielu, i z tego powodu nie tylko oni, ale i my jesteśmy udęczeni. Prawda, że narodowi wydziedziczonemu, jak Żydzi, należy się gościnność. Gdzie przyjdą, niech mają pracę chlebobajną, niech robią majątki, niech wreszcie pielęgnują swój separatyzm narodowy, ale — niech ich będzie mniej, niech ich będzie tyłu, ilu naród może udźwignąć bez złamania się. Wszakże chyba nie tylko my mamy obowiązek spełniać cnoty chrześcijańskie: podróżnego w dom przyjąć, głodnego nakarmić i t. d.

Starłem się wyraźnie przedstawić niebezpieczne strony żydowskiego uspołecznienia, opartego na „egoizmie narodowym”. Mimo to nigdy nie zalecałbym jakichkolwiek praw wyjątkowych przeciw Żydom; albowiem biada narodowi, którego rozwój domaga się przywilejów dla niego, a ograniczeń dla współzawodników! Ograniczenie nie tylko hamuje—ono także hartuje; przywilej nie tylko ułatwia życie—on także osłabia charaktery.



SZYMON ASKENAZY:

## U GROBU ŻYDA-POLAKA.

Przed dwoma laty zmarł w mieście naszym b. p. Henryk Wohl, były członek Rządu Narodowego z czasów powstania styczniowego, jeden z najzaciejszych przedstawicieli ówczesnego pokolenia. Co zaś w tej szanownej postaci wyjątkową posiadało doniosłość, jak na dzisiejsze w szczególności czasy, to ta okoliczność, że w jego osobę prawy Żyd polski wcielił się, jako prawy Polak, wystawiając wzór najczystszy, ofiarny cnoty patriotycznej. Niemasz w tem, nie powinno być w tem nic wyjątkowego; cnota polska może i powinna w sercu każdego, bez różnicy pochodzenia i wiary, zakwitnąć Polaka. Aliści w dzisiejszej mianowicie zamąconej i zgoryczonej dobie przypomnienie tej prawdy w osobie b. p. Wohla mieściło w sobie zarazem i otuchę, i naukę, i kiedy ciało jego chrześcijanie i Żydzi polscy pospołu nieśli do grobu, miało się wrażenie, że ten starzec, który Ojczyźnie służył swem życiem, oddał jej ostatnią posługę i zgonem.

Tymi dniami liczne tłumy, które przed dwoma laty zgromadziły się u grobu, rozwarłego przez śmierć, zebrały się na tem samym miejscu przed pomnikiem Wohla, wzniesionym przez przywiązanie. Nie zapomnieli zmarłego dawni towarzysze i przyjaciele i tyleż jemu, co własnemu uczuciu, postawili prostą bryłę granitową na jego miejscu spoczynku, na cmentarzu żydowskim, z napisem: *Dobremu Polakowi - Rodacy*. Zapomnieć dobrego człowieka, dobrego Polaka nigdy niepodobna, a najmniej w tych złych czasach, jakie przeżywamy obecnie. Złe, okrutnie złe były te dwa lata minione od śmierci Wohla, złe dla tego, co mu było najdroższe, dla wszystkiego, co polskie. A wiadomo, wszak z pięknego zapisu, zostawionego przez nieboszczyka, jakie dwie sprawy polskie najbliższe były jego sercu: sprawa polskiego chłopca i Żyda polskiego. Już wtedy, gdy on umierał, nie działo się dobrze; oglądał on gasnącym wzrokiem rozwianie wielu górnych nazewnątrz nadziei; ale najwięcej dręczył go już podówczas widok wewnętrznego zakłócenia duchowej równowagi narodu. Nękało go to zjawisko fatalne, które już wtedy z całą uświadamiał sobie jasnością: rozbiście pojęcia i poczucia jedności narodowej pod ciśnieniem czynników plemiennie - wyznaniowych, a wraz osłabienie, a nawet wręcz zakwestyonowanie jednoczącej potęgi asymilacyjnej narodu. Pod tym względem oddawna ciążył mu, jak zhora, i najżywszym napełniał niepokojem fatalny obrót sprawy rusińskiej, oraz pokrewnych: białoruskiej i litewskiej. Kiedy na krótko przed śmiercią radził się

mnie w sprawie swego zapisu, przekonać się można było, z jaką trudnością, z jakim bólem przychodziło mu, wbrew temu ideałowi powszechności, z którym był wyrósł, wyłączyć stąd Galicyę Wschodnią i Kraj Zachodni i ograniczyć swój zapis dla dzieci chłopskich i żydowskich rodem z Królestwa Polskiego i Galicyi Zachodniej.

Owóż naówczas już, w przedgonnych tych swoich rozmowach, kiedy trzeba było nachylać się blisko do ust konającego zwolna starca, aby szeptanych słów jego dosłyszeć, w tych słowach przebijał przede wszystkim najżywszy niepokój, ażeby podobnym opłakanym torem, jakim poszły sprawy rusińska, białoruska, litewska, i to w raptowniejszem jeszcze tempie, nie potoczyła się również i żydowska. Obawy jego w tym względzie, niestety, nie okazały się płonne, i rozpęd separatystyczny w dziedzinie polsko-żydowskiej nie tylko nie ustał odtąd, lecz raczej spotęgował się znakomicie. Nie tutaj miejsce poszukiwać, gdzie tego nieszczęsnego zjawiska spoczywają założenia i przyczyny dziejowe, polityczne, społeczne, które podobno i w tym wypadku, jak i w rzeczach rusińskich, białoruskich czy litewskich, aczkolwiek na sposób odmienny, w głębszych, aż nadto różnorodnych i skomplikowanych kryją się czynniki.

Ale tyle niezawodna, że nagłe i dotkliwe obostwienie tego zjawiska, od pierwszej chwili ciężkiego przesilenia, które Królestwo ostatnimi przechodziło laty, w znacznej mierze było skutkiem zgoła obłudnej i szkodliwej orientacji, jakiej pod wpływem niezdrowych

odruchów i fałszywych natchnień poddała się w tym krytycznym czasie poważna część ludności żydowskiej w kraju tutejszym. Nie wyłączając tu szczegółowo kwestyi poczytalności, która również na nader skomplikowane rozkłada się składniki i rozciąga się na stan sprawy żydowskiej i psychiki żydowskiej nie tylko w Królestwie, lecz oraz w Galicyi i w prowincjach zachodnich, sam przecie fakt opłakany tej zaostrojonej orientacji separatystycznej, szkodliwej dla społeczeństwa polskiego, a zgubnej dla żydostwa polskiego, należy stwierdzić na tem miejscu, jako bolesną, rażącą antynomię czystej pamięci Wohla i reprezentowanych przez niego tradycyi.

Ale również stwierdzić potrzeba, że, jeśli Wohl ciężkie w tej mierze żywił obawy, to żywił on również mocniejszą od nich wiarę.

Wierzył niewzruszenie, iż tamta odwieczna, żywiłowa moc jednocząca i asymilacyjna ducha i kultury narodowej polskiej, owo najcenniejsze dziedzictwo przeszłości i najwalmniejsza na przyszłość poręka, chociażby czasowo przyćmiona, przecie znowuż odrodzić się musi i, podobnie jak w oczach jeszcze naszych wypromieniła na Śląsk albo Mazury, tak i na Ruś, Białoruś czy Litwę, tak wraz i na żydostwo polskie wypromienić musi.

Wierzył, że sprawa polsko-żydowska z tego trzęsawiska, w jakim doraźnie ugrzęzła, wydobyta być może i powinna na zdrowy grunt stopniowego, prawidłowego rozwijania.

Wierzył, że ta sprawa nie jest ani przegrana, ani zbankrutowana, dla tego prostego powodu, że jeszcze dotychczas na seryo, we właściwym znaczeniu nie była wcale podejmowana i że takie podjęcie jej i rozwiązanie, w duchu istotnego zbratania sześciomilionowej ludności żydowskiej, rozrzuconej po ziemiach polskich, z ogółem społeczeństwa polskiego dokonane być może nie w drodze walk, targów czy paktów stronnicych, lecz jedynie mocą dwóch czynników kapitalnych: pracą i miłowaniem. A więc przede wszystkim przez miłującą pracę samychże Żydów, roztoczoną w obszernym i gruntownym sposobie nad opuszczonymi i zbiedzonymi masami żydowskimi; a więc następnie przez miłujące poparcie, przez rozumną współdyrektywę i pomoc serdeczną ogółu polskiego dla takich niezbędnych i zbawiennych dążeń. Nie chodziło mu przytem zgoła o jakieś wyróżniające honory lub afekty ze strony społeczeństwa polskiego dla bogaczy, działaczy, surdutowców żydowskich, o głaskanie ich nieraz nadczułej i fałszywej ambicyi i drażliwości prywatnej i publicznej. Ale pragnął i żądał serca i troski publicznej polskiej dla owych nieszczęśliwych mas, dla nędzarzy, kapociarzy, żyjących i gi-



„KONCERT NAD KONCERTAMI“ JANKIELA

ANDRIOLLI





LEZGINKA

L. STROJNOWSKI

nących z męką dla siebie, a krzywdą dla kraju, w biedzie, brudzie, ciemnocie, odosobnieniu, pod władzą sił i natchnień dla nich samych i dla kraju porównywalnych i zgnębionych, skąd wydobyc ich i wnieść stopniowo na poziom powszechnej kultury narodowej rzeczą jest tyleż dobra Żydów polskich, co i samej Polski; i pewien był, wiedział dobrze, że Polska, dość sama tak ciężko przez los nękana, znajdzie w sobie tę troskę, to serce i dla tych zbiedzonych mas żydowskich, które ongi do siebie przygaraęła, o ile one również i czystym sercem do niej, do sprawy narodowej polskiej przygarnąć ich zechcą i potrafią.

Takie było w najogólniejszych zarysach wyznaczenie wiary Wohla w sprawie żydowskiej. W idealistycznym swoim ujęciu natchnione wysokim z przed pół wieku nastrojeniem publicznym, było ono jednak w gruncie rzeczy nawskroś realistyczne i dałoby się rozwinąć w całym szeregu wskazań czysto praktycznych i aktualnych. Było godne człowieka, który życie swoje nie na nienawiści, lecz na kochaniu oparł. Tędy też, ku tym pięknym i mądrym tradycjom, prędzej czy później, tuszyć potrzeba, po wszelkich zboczeniach chwili bieżącej, nawróci uzdrowiona myśl i czyn publiczny w tej tak doniosłej, a tak obecnie zwichniętej, takim przepojonej jadem, takim cierniem wrzynającej się w ciało społeczne sprawy polsko-żydowskiej.

## Na drogach życia.

Nikt jeszcze nie posiadał „sztuki życia” w tym stopniu, aby mógł losem swoim kierować, nikt nie odkrył jeszcze busoli, któraby mu wskazała nieomylny kierunek fali, unoszącej go ku wybrzeżom nieznanego jutra. Umysł ludzki szuka jednak nieustannie orientacji w sferze zjawisk, w całokształcie swoim tworzących życie, i zdobywa coraz to nowe prawdy.

Religia i filozofia, które tych prawd zdobyły najwięcej, mogłyby już oddawna ogromnie zwiększyć sumę szczęścia ludzkiego na świecie, gdyby człowiek chciał i umiał iść zawsze za ich wskazówkami, ale człowiek słucha snadniej głosu namiętności, niż głosu wiary i rozumu, a stąd w życiu jego tyle rozdzźwięków, załamania, katastrof.

Zwłaszcza w epokach przejściowych, w epokach takich, jak nasza, życie ludzkie pełne jest powikłań tragicznych, a smutek i melancholia są stałymi towarzyszami nawet „najszcześniejszych”.

Pragniemy wszyscy lepszego, doskonalszego, szlachetniejszego życia, pragniemy *odrodzenia*, a jednocześnie zapadamy się coraz głębiej w trzęsawisko dnia dzisiejszego i nie mamy sił na wydobywanie się z błota. Podnosi się w nas niezadowolone, rośnie bunt przeciw tej niemocy, rośnie nawet nienawiść przeciw samemu życiu, które uwa-



żamy za *zło*, nie mając żadnego większego ponad nie *dobra*. W tem zaślepieniu obniżamy wszelkie wartości życia i szamocemy się z jego upiorem, chodząc manowcami, zamiast wybiegać jak najczęściej na te ścieżki, gdzie świeci i grzeje słońce.

A przecież to słońce jest niewątpliwe, i radować się niem może równie dobrze ubogi żebrak, jak mąż o rozległej wiedzy, jeżeli nie zamyka oczu na prawdy najprostsze, które leżą na jego drodze po to, aby je podniósł i podał innym.

Takie prawdy znaczą czasem więcej, niż całe tomy ksiąg uczonych, bo z nich tryska „sztuka życia”, bo w nich jest równowaga dla niejednej, szukającej oparcia duszy.

Nie mogę tu nie przypomnieć słynnego *De-kalogu* Montegazzy z jego *Fizjologii rozkoszy*:

„Pracować zawsze—brzmiały te krótkie, lapidarnie słowa.—Kochać zawsze. Kochać kobietę bardziej, niż siebie samego. Nigdy nie liczyć na wdzięczność cudzą. Zamiast nienawidzieć—uczyć; zamiast pogardzać—uśmiechnąć się. Z pokrzywy wysnuć nic, z piołunu wyciągnąć lekarstwo. Nie zginać się, chyba dla podźwignięcia upadłego. Posiadać umysł, przewyższający ambicję. Co wieczór zadawać sobie pytanie: co zrobiłem dobrego? Mieć zawsze wśród swych książek nowe dzieło, wśród zapasów żywności pełną butelkę, a w ogrodzie—kwiat rozkwitnięty”.

To wszystko. Co może być prostszego i zarazem dającego człowiekowi większą rękomię osiągnięcia równowagi i zadowolenia w życiu? A jednak, kto według tych prawd żyje? kto „z pokrzywy wysnuwa nici, a z piołunu wyciąga lekarstwo”? Nie czynimy tego, i oto pokrzywy parzą nas boleśnie, a piołun zamienia się nam w truciznę, która zabija w nas chęć do życia, pozbawia woli dążenia do dobrego i unicestwia moc walki z przeciwnościami.

Z. D.



# Le Wspomnienie Katorżnika

Simon Tokarzewski



## Wizja czy rzeczywistość?

Nie bywało przykładu, aby ktoś zdołał odrazu skończyć jakąkolwiek transakcję handlową z Chińczykiem Czim-haniem, bogatym kupcem w Minusińsku. Już interes był omówiony wszechstronnie, już punkty umowy spisane przez dwóch pisarzy: Rosyanina i Chińczyka, już brakowało tylko pieczęci i podpisów... Wtem kupiec wymyka się z pokoju... Mija pół godziny, godzina i dłużej—Chińczyka nie widać...

Nagle wpada zziębnięty, z roziskrzonymi oczyma, z rozpaczliwymi gestami, staje przede mną i łamanym rosyjskim językiem woła:

— Mój bardzo zgrzybiały gość i bardzo dobry przyjaciel, cudzoziemiec-Polak, nic nie wie?... Nic?... A tu przysłała wiadomość, że „Taj-pingi” \*) zniszczyli plantacje herbaty... o! zniszczyli plantacje w całym Państwie Niebieskim. I wszystkie pieniądze Czim-hania uciekły mu z rąk, jak woda ucieka przez palce... Czim-han jest teraz nędzarzem... musi mieszkać w łodzi, pływającej po Jang-Tse-Kiang... A herbata zdrożała!... Nie mogę jej sprzedać po tej cenie, na którą przystałem wczoraj!

Następują nowe targi. Po paru dniach kłótni, częściej gadaniny, jęków Czim-hania następuje spisanie nowej umowy, nowe zniknięcie kupca i pojawienie się i nowe okrzyki:

— Zgrzybiały cudzoziemcze, mój przyjacielu-Polaku! czy wiesz?... goniec umyślny przywiózł świeżą nowinę: wasz przenajświetniejszy cesarz przemówił się z naszym bogdychanem... zwyczajnie, jak to między przesławnymi królami bywa... Wolno im! Ale nasz bogdychan ani jednej karawany do Rosji nie puszcza... Herbata o wiele, bardzo wiele taelsów zdrożała!... Nie mogę już sprzedawać po tej cenie...

Wreszcie, po długich korowodach zawieram z Czim-haniem kontrakt o dostawę herbaty, dość korzystny dla mego pryncypała Swietyłkina, i w końcu grudnia wyruszam z Minusińska.

Trójka doskonałych, ognistych koni lekko i rąco unosiła nasze wyładowane sanie.

Przy silnym mrozie sprzyjała mojej podróży przepyszna pogoda. Jasność olśniewająca biła od śniegu. Szeroki, utarty gościniec błyszczał, jak wypolerowane srebro. Na przydrożach, na miękkich śniegach, niby kapryśne arabeski, płątały się tropy grubego zwierza i ślady lekkich nóżek ptasich. Zachody słońca i poranne zorze rozwijały w blade-błękitnych niebiosach tęcze jaskrawych, złocistych, mieniących się barw.

We wsiach, przy uczęszczanym gościńcu nierzadkich, a ludnych i zamożnych, popasy i noclegi były bardzo wygodne. Daleka podróż rażno i pomyślnie dobiegała końca.

Raz, kiedyśmy wedle zawczasu ułożonej marszruty zdążali na nocleg, słońce zaszło, a wraz z jego odejściem i rozpromienione obłoki zagasały.

\*) Tajpingi—partya, wroga panującej dynastji, w połowie XIX stulecia.

Z północy nadsięgnęły gęste zwały chmur ciężkich, skłębionych, ołowianego koloru i ze wszech stron zasnuły cały horyzont. Zaczem jęły sypać puszystymi płatami śniegu, które wnet potworzyły na gościńcu wysokie szańce i strome spadki. Cichy szepc wiatru zmienił się w ostry syk wichury. Ogarnęły nas ciemności, z gęstej mgły i śnieżnej zawiei utkane. Konie biegły, jak strzały, śnieg, wyrzucany z pod ich kopyt, boleśnie smagał nas po twarzach, gdy jednocześnie chłostały nas ciężkie, lodem oblepione gałęzie.

Woznica Tunguz odwrócił się do mnie i rzekł: — Zjechaliśmy z drogi! Nie wiem, kiedy i jak to się stało?... Znam te okolice... tu przy gościńcu głównym nigdzie niema boru, a my już długą chwilę jedziemy borem. Zbłądziliśmy, na wieki wieków, amen!... Co robić teraz, panie?

— Jechać dalej, mój chłopcze. Spuścić się na instykt koni. Zawszeć nas dowiozą do jakiejś ludzkiej sadyby.

— A jeśli światami poniosą, w tajgę, na wąwozy głębokie, rzeki bystre, na tundry?

— Po co się trapić przed czasem, mój kochany Tagirze? Tundry i rzeki teraz lodem od żelaza mocniejszym ściśnięte.

— Wądoły i przepaści, chociaż śniegiem zasypane, zawszeć głębokie.

— Wola Boska!

— Na wieki wieków, amen!... tylko!.. o! panie, widzi mi się, z nami źle!

— Przeżegnaj się, mój Tagirze, i wio!

Tunguz przeżegnał się pobożnie, cmoknął po syberyjsku, zawołał na konie: hu-u! ul pędź! leć! Podnieta przecież nie skutkowa!... konie wciąż zwalniały biegu, zaplatając ogony i grzywy o niewidzialne krzaki i łbami uderzając o niewidzialne pnie.

Wreszcie z boru wydobyliśmy się na step.

Burza szalała tu coraz groźniejsza. Orkan podnosił śniegu słupy, które w powietrzu wirowały, jak trąby morskie, a spadając z impetem, zasypywały nas śnieżną lawą, zmieniającą się zaraz w twardą i ciężką skorupę. Dzielne konie piersiami pruły ten ocean śnieżny i w ciągłych szczupakach to zagłębiały się w fale śniegu, to wyskakiwały ze śnieżnych odmętów. Sanie sunęły coraz powolniej, coraz ociężalej... Nagle dyszel uderzył w jakąś zaporę twardą, która przecież usunęła się natychmiast... Rysaki szarpnęły z całych sił... sanie przesliznęły się po czemś twardem i stanęły, jak wryte... Konie zaczęły

parskać, rzeć radośnie, brząkać uprzężą, kopytami walić w jakieś twarde podłoże.

Śnieg przestał nas zasypywać. Widocznie byliśmy w jakimś budynku, u którego dach i ściany burza waliła z wściekłością...

Kiedyśmy z wielkim trudem zdołali zrzucić z siebie lodową powłokę, wygramolić się z sani i zapalić woskową świeczkę w latareczce, okazało się, że jesteśmy w „bałaganie”, który podczas zbioru siana za letnik służył ludziom i koniom. W obszernej tej szopie był komin duży, „nary” pod ścianami, a także żłoby; przy tych wiadra z brzozonej kory i stosy drobno porąbanego drzewa.

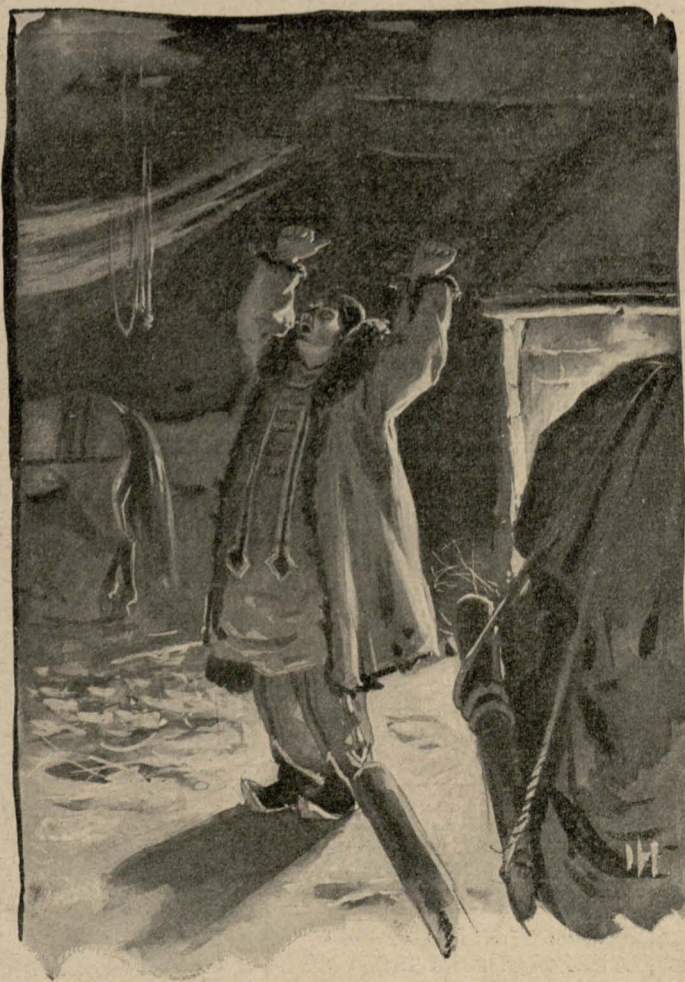
Rozgospodarowaliśmy się w „bałaganie”. Konie stały przy żłobie, pełnym owsa i siana, któreśmy z sani wyładowali wraz z zapasami żywności. Na kominie płonął i trząsał wesoło suty ogień. W miedzianym kociołku i w takimże imbryku czyściutki śnieg topniał ua herbatę. Przy sutym ogniu i szczelnie zamkniętych wrotach zwolna w szopie rozpościerała się atmosfera ciepła, zaciszna, miła.

— Widzisz, Tagirze—wesoło zagadnąłem woznicę, który przycupnął przy kominie, w kąciu — widzisz, Opatrzność uratowała nas od zguby.

— Na wieki wieków, amen, serce wysoczyło mi do gardła!—jęknął Tunguz.

— Co ci to, chłopcze, zziąbłeś? czekajże! już naparzam herbatę, napijesz się słodziutkiej i z „ogniem” \*) A herbatę zakąsimy pieczenią jelenią i „sajką”.

\*) Z arakiem.



Naraz zerwał się i straszliwym głosem krzyknął.



Nadzieja spożywania ulubionych przysmaków tym razem żadnego wrażenia nie wywarła na chłopcu. Jęczał i wciąż to szeptem, to głośno powtarzał:

— Serce wyskoczyło mi do gardła, na wieki wieków, amen.

Naraz zerwał się, wyprostował, jak struna, i straszliwym głosem krzyknął:

— Idzie! już idzie światami!

— Kto idzie?— spytałem przerażony.

— „Babula” \*) w czerwonej, rosyjskiej ko-

szuli idzie... „bryan” \*\*) prowadzi ją za rękę... Pan! zamykaj wrota, zamykaj, na wieki wieków, amen!

Runął na podłogę, trzepiąc rękami i nogami, jakgdyby w obronie przed czyjąś napaścią.

Biedak! widocznie skutkiem okropnych wrażeń, jakich doznaliśmy świeżo, uległ atakowi nerwowemu.

Ściągnąłem z niego przemokłą odzież. Wdziałem nań suchy „aziam” \*\*\*) i ciepłe „kamusowe torbosity” \*\*\*\*), ułożyłem go na przeciągniętych skórach reniferowych. Rozgrzany i napojony herbatą

z „ogniem”, chłopak usnął snem mocnym, pokrępiającym, wciąż mrużąc zdania, bezładnie splątane z zasad chrystyanizmu, którego był gorliwym prozelitą, i z baśni szamanizmu, który wyznawał niedawno.

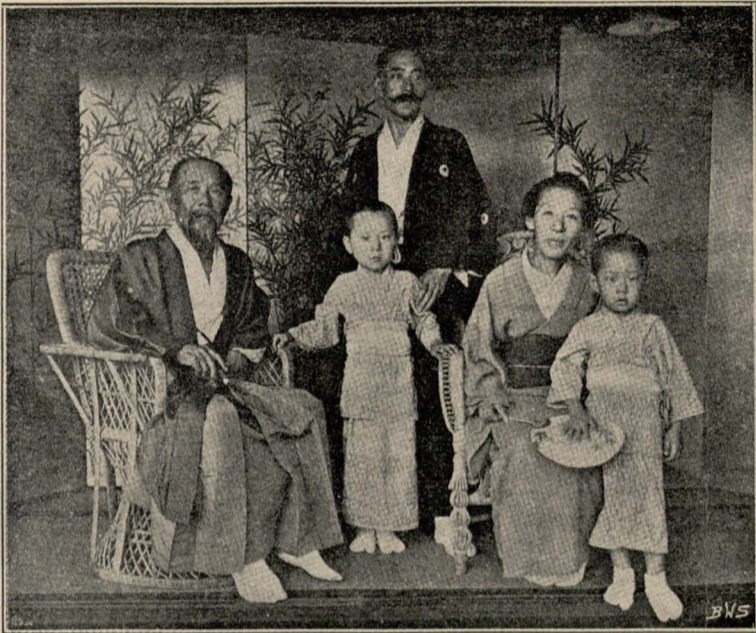
(DN)

\*) „Babula”—śmierć.

\*\*) „Bryan”—wiatr.

\*\*\*) „Aziam”—kaftan z wielbłądziej sierści.

\*\*\*\*) „Kamusowe torbosity”—miękkie buty z łap reniferowych.



Twórca nowoczesnej Japonii, książę Ito z rodziną. Ofiara zamachu, ks. Ito był jednym z najwybitniejszych japońskich mężów stanu, ostatnio wielkorządcą Korei. W części nieprzejednanej ludności tego kraju wywołał rządami swymi nienawiść, która kierowała ręką mordercy.

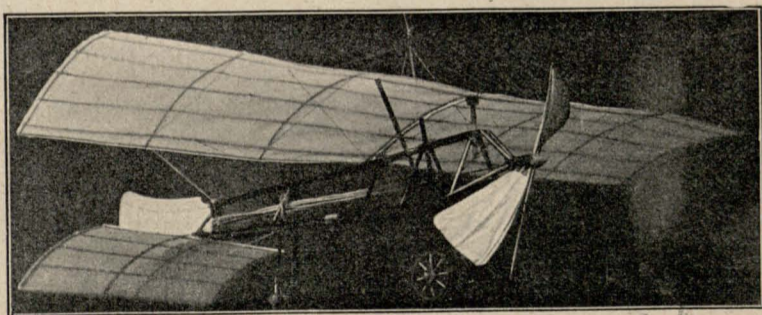
AWIATYCY POLSCY.



Wincenty Szindler.



Inżynier Rudolf Szindler.



Monoplan braci Szindlerów.

Awiatycy polscy.

Mamy dziś do zanotowania konkretny fakt zdobyczy, dokonanej przez dwóch Polaków w dziedzinie awiatyki. Oto na stałej wystawie przemysłowej w krakowskim Domu techników wy-

stawili bracia Rudolf i Wincenty Schindlerowie model monoplanu swojego pomysłu, który, jak z obliczeń, przedstawionych przez wynalazców inżynierem krakowskim, wynika, zaleca się szereg ważnych i właściwości ważnych, a zbywających dotychczasowym maszynom do latania

rozmaitego typu. Najważniejsze części składowe swojej maszyny utrzymują, naturalnie, wynalazcy w tajemnicy, ale, jak z wystawionego modelu widać, maszyna ich posiada istotnie poważne dane do utrzymania się na ogólnym poziomie dzisiejszej techniki awiatycznej. Obaj wynalazcy dają pewne gwarancje, że wynalazek ich nie jest tylko wytworem dyletanckiego samouctwa, ale że odpowiada wymaganiom, jakie ma w tym względzie nowoczesna wiedza.

Portrety na dobie.

JAN BIERNACKI.

Młody, utalentowany rzeźbiarz, którego prace zamieszczamy w reprodukcji w niniejszym numerze *Tygodnika Ilustrowanego*, urodził się w Warszawie w roku 1879 i tu też, w grodzie rodzinnym, otrzymał początkowe wykształcenie artystyczne pod kierunkiem profesorów Gersona i Badowskiego, którzy mu udzielali nauki rysunków, oraz prof. Olesińskiego, który kształcił go w obranej przez młodego adepta sztuki specjalności: rzeźbie. Mimo młodego wieku, Biernacki zdążył już

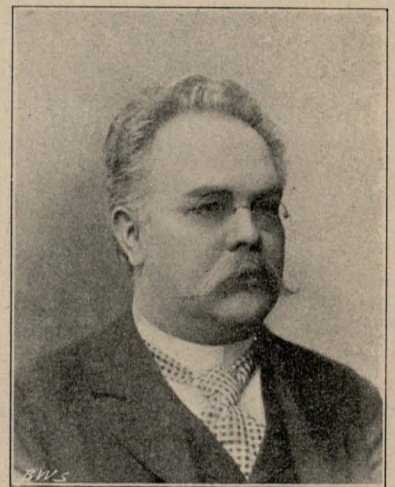


zaznaczyć wyraźnie swą indywidualność artystyczną i zwrócić na siebie uwagę znawców; między innymi otrzymał już trzy stypendya konkursowe w Towarzystwie Zachęty Sztuk Pięknych. Praca usilna i talent wrodzony młodego artysty znalazły swój wyraz w pięknym, a już obfitym dorobku, którego częścią najlepszą znajdują nasi czytelnicy w dzisiejszym numerze. Wyróżniają się tu zwłaszcza pięknie modelowane figury zwierząt, doskonałe w ruchu i charakterze („Orka”, „Wielbłąd”), jak również studia i portrety, chlubnie świadczące o talencie i opanowaniu środków technicznych obiecującego artysty. Z kompozycji zamieszczamy w nr. bieżącym „Archaniota”, jedną z najlepszych rzeczy Biernackiego w tym kierunku. Prócz tego ma Biernacki jeszcze w swoim dorobku cały szereg portretów, studyów, oraz pomników, co wszystko razem wroży mu piękną przyszłość. Obecnie Biernacki udaje się na dalsze studia do Paryża, gdzie będzie miał sposobność wydoskonalenia swej techniki i objęcia szerokich horyzontów sztuki.

Jubileusz dra Spielmanna.

Rektor jedynej polskiej akademii weterynaryi we Lwowie, dr. Józef Spielmann, obchodził w ubiegłym tygodniu dwudziestopięcioletni jubileusz swojej działalności nauczycielskiej. Głęboki hold, jaki mu przy tej sposobności oddano, nie tylko ze strony najbliższych jego towarzyszów pracy, ale także ze strony wybitnych osobistości w mieście i kraju, jest najlepszą miarą wielkich zasług, które dla rozwoju weterynaryi, umiejętności w kraju, jak Galicya, rolniczym, tak niezmiernie ważnej, czcigodny profesor i rektor położył. Niestrudzona jego działalność nie ogranicza się

tylko do samej akademii i weterynaryi, która dzisiaj jest jedną z najlepszych szkół tego rodzaju w Austrii i przyciąga coraz więcej uczniów z daleka z poza granic kraju. Także i w gospodarce wiejskiej, szczególnie w tej jej tak ważnej dzied-



zinie, jak aprowizacja miasta i zaopatrzenie ludności w zdrowe mięso, zasługi jubilata są bardzo wybitne. Z wytrawną radą swoją i obywatelską gotowością do czynu śpieszy on zawsze tam, gdzie tego interes ukochanego przezeń miasta wymaga. Nic też dziwnego, że w wielu sprawach uważa go Lwów za nieomylną wyrocznię.

NEKROLOGIA.

Dnia 27 sierpnia r. b. zmarł w Warszawie w 44 roku życia ś. p. STANISŁAW GRZEGORZEWSKI. Ostatnie lata swego, niestety, tak krótkiego życia, poświęcił zmarły podniesieniu i rozwojowi Druskienik, a że nierażo na tem polu dokonał, świadczą liczne głosy prasy naszej i szczerzy żal tych, co z nim pracowali i na działalność



jego zblizka patrzyli. Oto są słowa, które mi redakcja *Zdroju* żegna zmarłego. To też, przejęci najgłębszym współczuciem i żalem z powodu zgonu tak zasłużonego i dzielnego pracownika na ciężkiej niwie zdrojownictwa polskiego, składamy u trumny zmarłego ten wieniec uznania, pocieszając się wiarą, iż pod kierownictwem jego następców rozwijać się będą Druskieniki nadal w myśl twórczych szlaków ś. p. Grzegorzewskiego, ku nieśmiertelnej jego pamięci w Druskienikach, u potomności i w historii zdrojownictwa polskiego.

**W. Golińska**  
 PLAC TEATRALNY, POD FILARAMI,  
 PERFUMY, WACHLARZE, SZPIŁKI.  
**LEOPOLD KOCH, MIODOWA 2.**  
**NAJLEPSZE UBIORY MĘSKIE.**

**SIWUCHA**  
  
**F. JANKOWSKIEGO.**

**TOW. S. I. CZEPELEWIECKI i S-wie**  
 poleca:  
 Mydła, perfumy „ANTIQUÉ”, wody koloń. kwiat.  
 Mydła, perfumy „GOÛT d'OR”, wody koloń. kwiat.  
 Mydła, perfumy „IDEAL”, wody kolońskie kwiat.  
 Mydła, perfumy „CAPRICE”, wody kolońskie kwiat.  
 w 20 za-  
 oraz **NOWĄ WODĘ KWIATOWĄ** pachach.

**MEBLE STYLOWE M. KALMUS**  
 MARSZAŁKOWSKA 141. TELEFON 28-87.

**„ŚMIECH”** Tygodnik humor. ilustr. HOŻA 44,  
 w Warszawie kwartalnie rub. 1,  
 z przesyłką kwartalnie rub. 1 k. 25.

**BIELIZNA MĘSKA I DAMSKA**  
 K. Dutkiewicz, Ś-to Krzyska 30, w Warszawie.







ZJAZD LITERATÓW I DZIENNIKARZY WE LWOWIE.

## Dni Słowackiego we Lwowie.

Kiedy poważny, spokojny Kraków, w swoje dumne gniazdo królewskie zapatrzony i w rozbrzmiewające w załomach jego ulic echa wieków odległych zasłuchany, jest siedzibą kultu geniuszu Mickiewicza, to pełen temperamentu, namiętny, chwilami egzaltowany Lwów więcej i żywiej odczuwa Słowackiego. Potężny jego patos, wschodnia obrazowość języka i żywiołowe uczucie znajdują w duszy lwowskiej żywszy oddźwięk, ponieważ właściwości tej duszy, pod wpływami Wschodu urobione i w długich walkach kresowych wykrystalizowane i ustalone, w otchłani poezji Słowackiego mają najbogatszy i najpiękniejszy dla siebie odpowiednik.

Jakkolwiek jest, znamienną zawsze pozostać rzeczą, że, kiedy w roku 1832 pojawiły się pierwsze tomiki poezji Słowackiego, na które emigracja nie zwróciła niemal uwagi, pierwszy Lwówianin odczuł w nich tchnienie geniuszu i zrozumiał ich język. Lwowski krytyk i poeta, August Bielowski, pisał wówczas w listach do Nabelaka o tych skromnych tomikach, że „wielkie to są rzeczy”.

Później znowu inny zasłużony poeta lwowski, Kornel Ujejski, pierwszy miał odwagę postawić twórcę „Kordyana” na jednym piedestale z Mickiewiczem. Kiedy zaś język polski odzyskał swe naturalne prawa na wszechnicy lwowskiej i kiedy katedrę literatury polskiej objął znakomity Antoni Małcki, wówczas znowu nie gdzieindziej, jak we Lwowie, dzieła Słowackiego stały się po raz pierw-

szy przedmiotem gruntownego i pełnego pietyzmu badania naukowego.

W największej sali uniwersytetu lwowskiego nie mogli wtedy pomieścić się słuchacze wspaniałych wykładów Małckiego o Słowackim. Młodzież, zasłuchana w poważne słowa ukochanego profesora i w odczytywane przezeń porywające ustępy dzieł Wieszcza, tłoczyła się po korytarzach, bo salę zajmowali osiwiiali w pracy publicznej mężowie, którzy śpieszyli na uniwersytet, jak za dawnych lat młodych, aby nauczyć się rozumieć tego, który, jakgdyby z grobu zapomniał wstawszy, zwiastował narodowi zmartwychpowstanie.

Nic też dziwnego, że, kiedy nadeszła podniosła rocznica stulecia urodzin Wieszcza, Lwów nie tylko innym polskim miastom prześcignął się w kulcie dla Słowackiego nie pozwolił, lecz owszem, przewyższył je wszystkie pod względem wspaniałości obchodu, na pamiątkę jego urzędowego, i tego serdecznego, szczerzego pietyzmu, jaki w ten obchód włożono.

Najważniejszym i najpiękniejszym momentem uroczystości lwowskich był niewątpliwie zjazd uczonych i literatów polskich, poświęcony wyłącznie

badaniom nad dziełami Słowackiego. Dnia 29 z. m. w pięknie udekorowanej sali obrad na Ratuszu lwowskim zebrali się przybyli ze wszystkich stron Polski uczestnicy zjazdu, dostojnicy Kościoła, przedstawiciele najwyższych władz państwowych



Pochód włościanek przez miasto.

na uroczystość otwarcia obrad. Imieniem miasta powitał zebranych wiceprezydent miasta, dr. Rutowski, poczem prof. Bruchnalski, jako prezes sekcji literackiej, zjazd zwołującej, zagaił obrady.

Obrady zjazdu zakończyły się w sobotę, poczem Rada miasta Lwowa złożyła hołd pamięci Wieszcza na uroczystym posiedzeniu. Wspaniały raut, wydany przez miasto na cześć gości, którzy przybyli na uroczystość nie tylko z Polski, ale także z Czech, Chorwacji i innych krajów słowiańskich, zakończył ten drugi dzień obchodu.

Tymczasem na ulicach miasta, na których ruch niezwykle wzrastał się z każdą godziną, ukończono wspaniałe dekoracje domów. Z gmachów publicznych powiewają chorągwie, okna domów ozdobione zamiast iluminacji pięknie wykonanymi nalepkami pomysłu Stachiewicza. Słupy latarni przybrane festonami zieleni.

Wszystko to przygotowania na niedzielę. W dniu tym o godzinie dwunastej w południe odbyło się poświęcenie kamienia węgielnego pod pomnik Słowackiego przed teatrem. Był to punkt kulminacyjny uroczystości. Grupy delegacji już od wczesnego ranka oczekiwały na przeznaczonych dla siebie miejscach na uformowanie się pochodu, który po uroczystym nabożeństwie w katedrze wyruszył na miejsce przyszłego pomnika. Pochmurne z początku niebo wypogodziło się, a złote promienie jesiennego słońca załazy całą ulicę Hetmańską i Wały Hetmańskie, które słońce sunął nieprzejrzany tłum uczestników pochodu. Węz najpierw



Poświęcenie kamienia węgielnego pod pomnik Słowackiego we Lwowie.

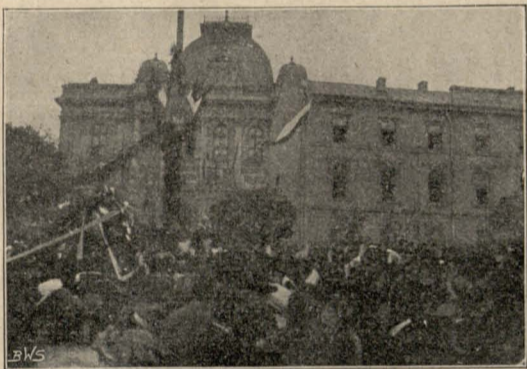




Pochód jubileuszowy: grupa Polek.

orkiestra Czwartaków w uniformach słynnego pułku warszawskiego z r. 1831. Za nią młodzież szkół średnich. Jak Jan Bławatów, przelewa się w słońcu błękit mundurków uczniowskich. Idą w ordynku wojskowym z „pułkownikami” swoimi na czele, a nad głowami ich chwieją się pozłociście standary. Młodociani dobosze z zapalem biją w bębny. Muzyki grają.

Za tą armią młodą, w której znać świadomość tego, że jest nadzieją i otuchą narodu, podążają grupy uczennic. Pokraśniałe od porannego chłodu twarzyczki, oczka lśniące zapalem. Widok radosny i krzepiący. Dalej nieprzejrzany korowód delegacyi. Niosą tablice i sztandary. Idą powoli, a skupieni w sobie i głębokiego znaczenia tego święta wielkiego świadomi. Za nimi znowu rdzeń narodu, sukmany włościańskie i długie szeregi wielkiej armii robotniczej. Skupieni koło godeł pracy i solidarności robotniczej, idą ci socjaliści polscy w jednym szeregu ze wszystkimi



Mowa wice-prezydenta miasta, d-ra Rutowskiego.

innymi stanami narodu, aby oddać hołd należny jednemu z największych hetmanów ducha polskiego.

Znowu delegacje i sztandary, a za nimi godła historyczne mieszczaństwa lwowskiego, w Strzelnicy skupionego, duchowieństwo i Rada miejska w kontuszach i deliach. Już czoło pochodu dawno stanęło na miejscu, już wielki plac przed teatrem pokryło jedno morze głów, wśród którego sokoli z trudem tylko wielkim utrzymują porządek, a końca tej niezwyklej procesyi jeszcze nie widać. Wreszcie nadeszli. Na miejscu, pod pomnik przeznaczonem, odprawiono modły. Na trybunę zaczęli wchodzić mówcy. A tłum, zasłuchany w ich słowa, kołysze się, jak Jan zboża ścigłego, i pochyla głowy, korząc się przed wielkością i nieśmiertelnością Ducha, któremu oto taką cześć oddają.

## PO „CZĘSTOCHOWIE”.

Z CYKLU: „WIEŚ”.

Ludowi polskiemu przybył temat do rozmowy, pogawędki, rozmyślań: świeżo zamknięta wystawa w Częstochowie.

Płyną o niej tysięczne echa po kraju, niby te nitki „babiego lata”, które Matka Boska litosna w dniach jesieni przedzie.

Płyną po pławych rżyskach i wygonach,

gwarzą o niej pastuszkowie wiejscy, pod polną gruszą przytuleni, gędzbi niemi przyżba chaty wieśniaczej, czeladnie dworskie.

Płyną szeroko i daleko, jak kraj cały, budząc, jak w „Zachwyceniu” Lenartowicza, jakieś słodkie, dobre rozmarzenie w duszach prostacznych.

Jest w tych powiadaniach, w tych wrazeniach, wyuiesionych z pod Jasnej Góry, dużo naiwnej tkliwości, dużo wyobrażeń omal dziecięcych, ale jest w każdym z nich jeden z najpiękniejszych przejawów ducha ludu polskiego: jest głęboka wiara, jest umiłowanie swojego, jest w prostą formę ujęta potęga zbożnej myśli.

O! wróciła z częstochowskiej wystawy gardzienicka kompania dworskich ludzi.

W Gardzienicach stary obyczaj panuje. Schodzą się co wieczór dworscy i nie-dworscy do czeladniej na pogawędkę o tem i owem. Sam dziedzic także zagląda.

A cóż dopiero teraz, kiedy tyła różności się widziało.

W izbie pełno: gospodarze, nie-gospodarze, gospodynie, dziewuchy. Ostatnich najwięcej, bo kobieta od maleńkości do wszystkiego najciekawsza.

A karbowy, co z dworską służbą za przewodnika jeździł, opowiada, grdyki nie żałując. Powiada o różnych maszynach, o obrazach, o tych Czechach, „co mądre, jak Niemcy, choć po mieciecku nie gadają”, ale najpiękniej mówi o „żywocie i męce Chrystusa Pana”, którą w „kinematografie” widział (autentyczne):

„Bo to widzicie, moi ludzie, wszystko, jak żywe! I rusza się, i chodzi”.

„Mignęło... Zrazu ciemno... A potem... najprzód... stajenka Betleemska... W stajence Panienka Przenajświętsza z Dzieciątkiem.

„Patrzysz... A tu ci wychodzi z jednej strony krowa... takusienka graniata, jak ta nasza, co ode drzwi stoi... i nuż lizać ręce Matce Przenajświętszej... Nieme stworzenie! a rozumie wszystko i, jak może, łasi się Opiece Bożej...”

„Potem... znowu mignęło... Już ci Jezusek podrośł. Już mu może ze dwanaście років. Stoi se w pośrodku i prawi, a dokoła same starce. Słuchają, jeno głowami kręcą, tak mądrze gada.

„A naród patrzący aż wzdycha!

„Znowu chwilka... Zabułgotało. Woda, jak w naszej Wiśle. Na wodzie łódki. Rybacy zapuścili niewód... ciągną... nic...”

„Raz, drugi, trzeci... nic! A Pan Jezus do nich:—Czekajta, chłopcy! nie umieta rybów łowić!.. Ja wam pokażę...”

„Przeżegnał krzyżem świętym siatkę... Zapuścili jeszcze raz... Ciągną... A tu rybów, jak w jakim sadzu! Same karpie, szczupaki, leszcze! łokciowe sztuki! A wszystko, jak żywe, moje ludzie!

„A potem znowu ona wieczerza... Schodzą się apostoły... siadają po porządku... Święty Jan przy Panu Jezusie, a reszta kołem... Podjedli sobie, jak się patrzy... Tylko, że Chrystus Pan czegoś smutny...”

„Nie miał być markotny, chudziaczek! kiej już Mękę Swoją Przenajświętszą przewidywał, Judasza zdrając!

„I niedługo czekał... Znowu mignęło...”

„Naród patrzący aż z ław powstawał... Mignęło... Zastukało... Nam omal z boleści serca nie popekały... Bo oto Chrystus Pan na krzyżu... między łotrami... Oczy podniósł w górę i modlił się w swojej męce za świat grzeszny...”

„Kto żył, to zapłakał! Niejednemu to chciało się skoczyć do psubratów!

„Ale znowu mignęło...”

„Odetchnął naród! Wniebowzięcie! Chrystus Pan między już aniołami i świętymi. Chóry niebieskie śpiewajom: Alleluja!

„A wszystko, jak żywe! Aż dziwno!...”

„I że też te Żydy... wszystko prawie, jak żywe... mogłyby obaczyć... a w Pana Jezusa nie wierzą!” — konkluduje karbowy gardzienicki, wzdychając.

A za nim cała czeladnia wzdycha i wzdycha, a mała Maryś szepce z kątką, jak w zachwyceniu:

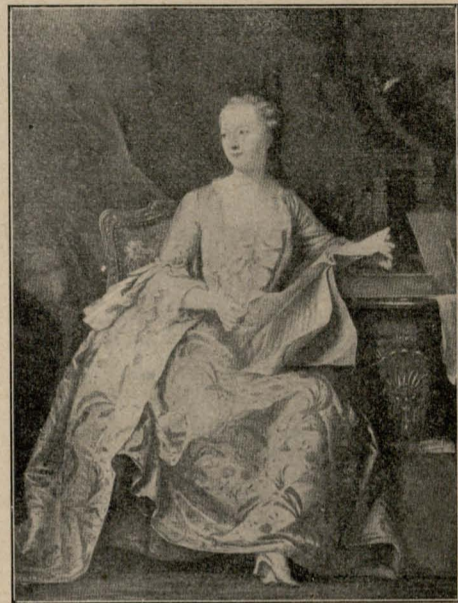
— Któryś cierpiał za nas rany...

KAZIMIERZ LASKOWSKI.

## Z filozofii mody.

CZY WARTO MYŚLEĆ O MODZIE?

Czułe na drgnienia mody, jak klisze fotograficzne na promienie słońca, czytelniczki i ci z czytelników, którzy okazują wrażliwość na



Margrabina Pompadour. Styl Ludwika XV.

tak lub inaczej wyłożone klapy tużurka, zdziwią się zapewne, przeczytawszy ten tytuł. Zaliste bowiem, co może mieć wspólnego filozofia z modą, a moda z filozofią? — zapyta niejedna i niejedyn.

A jednakowoż zdziwienie to, które na podstawie czysto empirycznych przesłanek ośmielał się przewidywać, nie ma ani śladu uzasadnienia. Filozofia bowiem mody jest tak samo uprawniona do bytu, jak wszelka inna filozofia, z tej prostej przyczyny, że moda jest

bardzo ważnym i poważnym zjawiskiem życia społecznego, a filozofia bardzo ważną i poważną nauką, zajmującą się badaniem i wyszukiwaniem praw rządzących życiem w najszerszym i najogólniejszym tego wyrazu znaczeniu, a więc także i modą, jako jednym z bynajmniej nie obojętnych i ważnych życia tego zjawisk.

KRÓLESTWO MODY.

Przedewszystkiem jednak musimy porozmnieć się co do znaczenia samego wyrazu „moda” i co do zakresu najrozmaitszych znaczeń, jakie on obejmuje?

Otóż moda nie ogranicza się do samych tylko kapeluszy i fryzur damskich, lub kołnierzy i krawatów męskich.



Wpływ jej sięga o wiele dalej, a nawet jest tak potężny, że obejmuje i odbija się na wszystkich niemal dziedzinach życia zbiorowego, zarówno duchowego, jak fizycznego. W rozmaitych dziedzinach moda, wszechwładna nie-



Moda z roku 1814. „Merveilleuse”.

raz i despotyczna pani, występuje pod rozmaitymi pseudonimami, tak że, jeżeli noszenie szkodliwych bluzek nazywa się jeszcze po prostu „modą”, to bezmyślne powtarzanie pewnych oklepanych frazesów ze sfery, w której ongi myśli pawała, nazywa się już „prądem”,

uczęszczanie na odczyty i prelekcje, których się nie rozumie, „głodem ducha”, robienie rozmaitych głupstw—„duchem czasu” i t. d. i t. d. Wziąwszy tedy na uwagę to zamiłowanie zwyczajnej i nieraz zgoła ordynarnej mody do mistyfikowania nas rozmaitymi, często bardzo nawet wymyślnymi pseudonimami, zrozumiemy, że, filozofując o modzie, wypływamy na przestwór życia bardzo szeroki, w którym—i to zakrawa już na złośliwą ironię—mieści się doskonale nawet sama filozofia...

A więc wpływamy na ten przestwór.

#### MODA A PSYCHOLOGIA.

Człowiek jest istotą *dualistyczną*, t. j. że do życia i działania potrzebuje co najmniej dwóch sił, któreby o panowanie nad nim ciągle z sobą walczyły. Krótko mówiąc, człowiek, aby żył i działał, musi ciągle czegoś chcieć i czegoś nie chcieć. W tych dwóch granicach chcenia ciągłego i takiegoż niechcenia odbywa się ludzkie życie i działanie. Człowiek, jako członek danej grupy społecznej, chce *ujednostajnić* się z tą grupą, aby w ten sposób



Deveria. Moda z roku 1830.

znaczną część odpowiedzialności z siebie samego przetrzucić na tę grupę, ale równocześnie nie chce zlać się z nią zupełnie, aby w ten sposób nie zatracić znowu poczucia swej indywidualności i odrębności od innych. Ta prosta i pozornie łatwo zrozumiała formuła stanowić może klucz do olbrzymiego palimpsestu, który się nazywa „historią ludzkości”; ona to bowiem sprowadza ją do szeregu długo przygotowywanych i wywalczanych, a szybko niszczonej kompromisów pomiędzy jednostkami a grupami społecznymi, dążącymi do ujednostajnienia się z sobą (*cywilizacja*) i równocześnie do wyróżnienia się od siebie (*indywidualizacja*).

W ucieleśnieniu społecznym tego przeciwieństwa jedna jego część, mianowicie dążność do ujednostajnienia, opiera się na psychologicznym zjawisku *naśladownictwa*. Ono to umożliwia nam postępowanie rozsądne i celowe, nawet tam i wówczas, gdzie i kiedy, pozostawieni samym sobie, nicbyśmy rozsądnego ani celowego wymyśleć nie mogli. Naśladownictwo daje nam to miłe uczucie spokoju, że w działalności naszej i poszczególnych czynach nie jesteśmy odosobnieni. Naśladownictwo pojawia się wszędzie tam, gdzie istnieje już pragnienie celowej działalności osobistej, ale nie ma jeszcze zdolności do nadania temu działaniu osobistej, indywidualnej treści.

Psychologiczną podstawą drugiej części tego zasadniczego przeciwieństwa życiowego, mianowicie dążności indywidualistycznej, jest instynkt wyróżniania się. Jest on nieubłagany wrogiem instynktu naśladownictwa i posiada równie, jak on, ogromnie rozległą skalę natężeń i form przejawiania się.

#### ISTOTA MODY.

Zasadnicze elementy mody sprawiają, że istota jej polega na tem, iż zawsze hołduje jej tylko jedna część grupy społecznej, podczas, gdy reszta znajduje się dopiero na drodze do niej. Kiedy jaka moda stanie się powszechną, wtedy przestaje być modą, ponieważ nie spełnia już drugiej części swego zadania: nie pomaga hołdującym jej jednostkom do wyróżnienia się. Dlatego to pani domu wpada zawsze w zły humor, widząc, że pokojówka jej sprawiła sobie taki sam kapelusz, jak ona, ponieważ instynktownie odczuwa, że przez to samo jej kapelusz utracił rację bytu i nie może jej już odróżnić od własnej pokojówki.

Służąca jej ma taki sam kapelusz, jak ona. Czy jednak naprawdę taki sam? Czy nie można jej pocieszyć i wyperswadować? Spróbujmy. Pani szanowna—tłómaczymy jej—kupiła swój kapelusz w pierwszorzędnym magazynie i zapłaciła pani za ten cud sztuki modniarskiej 50 rubli. Jaka cudowna słomka, co za wstążka, jaki prześliczny kwiat, a jak wspaniałe pióro!... Naprawdę, gdybym był tym arcy-kapeluszem pani, pogniwałbym się na nią o to, że mogłaś upatrzeć dla mnie niebezpiecznego konkurenta w tem ohydny pudle, które Magdzia kupiła sobie wczoraj na Nalewkach po dwugodzinnym targu za 3 ruble i kopiejek 37. Wszakże tam słoma z żyta, wstążki z bawełny, a pióro strusie z kurzego pierza... Zresztą, co za fason, co za dobór barw! Okropność pomyśleć, a cóż dopiero zobaczyć...

Rozbrojona tymi argumentami, piękna pani już—już miała rozchylić usteczka do czarującego—jakże mógłby być inny—uśmiechu, gdy pewna myśl nagła i niespodziewana znowu pogrążyła ją w zwątpieniu, graniczącym z rozpaczą. Oto uświadomiła sobie, że w sprawie



Marya Klementyna Karolina orleańska, ks. Sachsen Koburg. Drugie cesarstwo.

kapeluszy nie chodzi o ich gatunek, ani o cenę, bo na ulicy nikt przecie kapelusza na głowie damy nie dotyka, a znawców, co to od jednego rzutu oka poznają firmę i wiedzą, kto go rodzi, jest tak niezmiernie mało, lecz o zupełne podobieństwo ich *formy zewnętrznej*, o to mianowicie, że na obu kapeluszach lewe skrzydło jest podniesione, a prawe zniżone, że pióro u obu znajduje się po stronie lewej, a wstążka po prawej, a kwiatek z przodu lub z tyłu... Ta identyczność formy decyduje. Piękna pani pozostaje nadal nie pocieszoną i, co ważniejsza, ma, że stanowiska mody, *najzuppełniejszą słusność*.

#### MALUTKI MORAL.

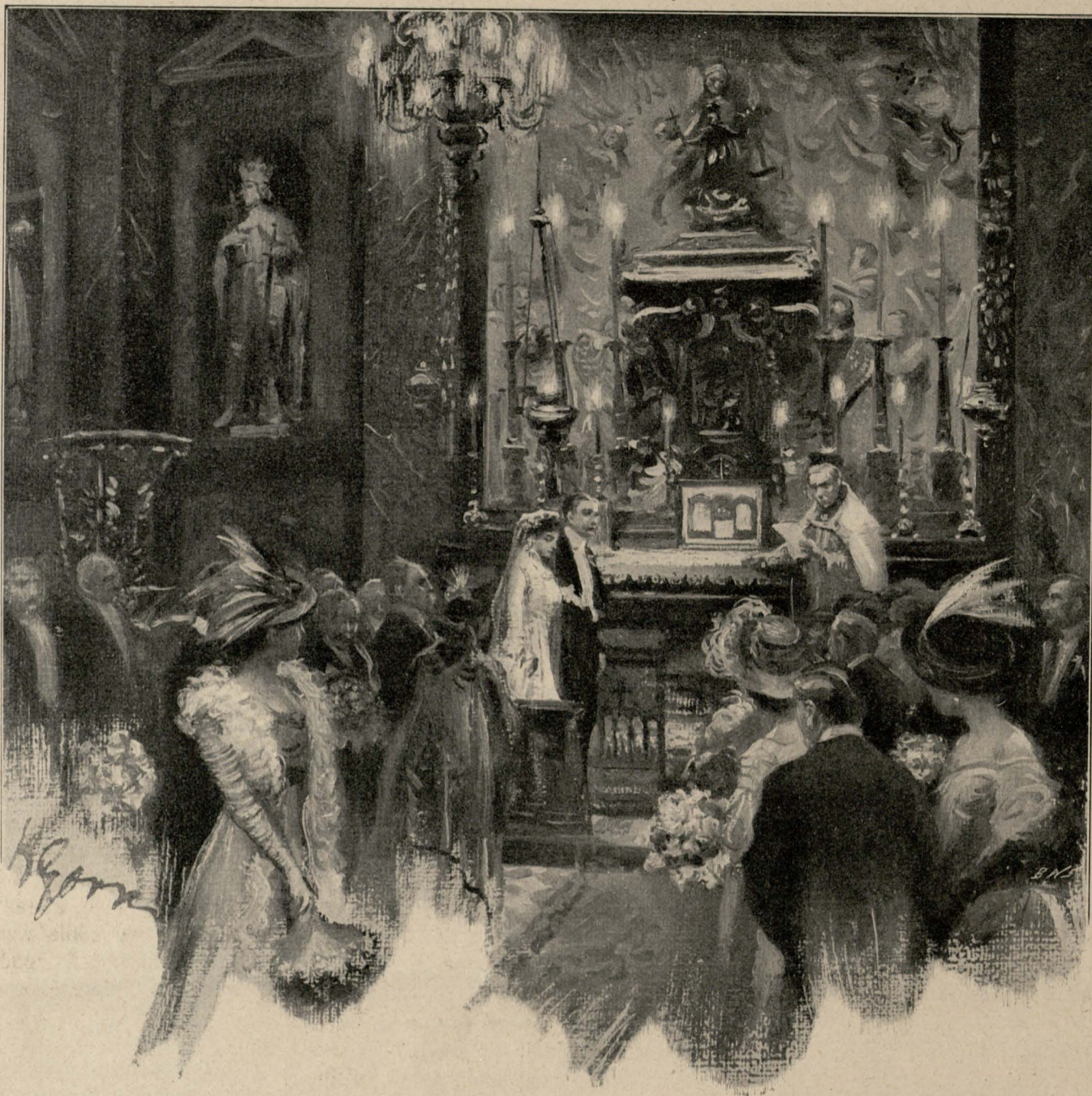
Tak w najgłówniejszych zarysach przedstawia się filozofia mody. Naturalnie, nie jest ona tu wyczerpana, ponieważ moda, jako zjawisko życia społecznego o przedziwnej celowości, jest tematem, bardzo daleko wybiegającym poza dopuszczalne granice artykułu, w którym można tylko co najwyżej *zamarkować* istnienie danego problemu, a nie kusć się o jego rozwiązanie. Widzimy, że życie w każdym swoim przekroju stanowi niezmiernie misterny i zawiły kompleks zagadnień i problemów i że na peryferii jego niema punktu, od którego nie prowadziłaby prosta droga myśli do najwyższych i najtrudniejszych zagadnień.

K. S.



Moda współczesna, jesień 1909 roku.





Wziął z ołtarza kartę i czytał.

KONSTANTY GORSKI

JÓZEF WEYSSENHOFF:**U N I A** POWIEŚĆ LITEWSKA.

Zastrzega się prawo przedruku. 45)

XXX.

Oczekiwano Kazimierza w Ponikszcie od strony północnej, znowu bowiem pojechał do Petersburga. Brakło nawet listów z dni ostatnich, tylko depesze utrzymywały między narzeczonymi nie gasnącą iskrę. Od czasu przejazdu Marczaka przez Ponikszkę, który *pro forma* tylko skierował się tędy do kolei, aby oświadczyć, że skończył czynność, że „nie jest tak źle”, ale żadnych cyfr i wniosków nie powierzył Krystynie, od dwóch tygodni nie działo się nic na zewnątrz serc, bijących oczekiwaniem.

Był już ostatni dzień na przyjazd możliwy; pojutrze zaczynały się tam, w Warszawie, święta nowego stylu, nowej rodziny, do której Krystyna miała podążyć z Kazimierzem w towarzystwie panny Zubowskiej. Obie panie były do podróży przygotowane, niecierpliwe, każda po swojemu. Tylko ksiądz

Antoni filozofował smutnie, że, gdyby Kazimierz nie zjawił się, to zapewne nie mógł, to może i lepiej?...

— Ale gdzie tam, księżę profesorze! Musi przyjechać! przyjedzie!

Ostatnim możliwym pociągiem, o ósmej rano, wpadł Kazimierz razem ze świtem do dworku, gdzie panie, już ubrane, i ksiądz Antoni, powołany z altaryi o niezwyklej godzinie dla nadzwyczajności tego dnia, powitali go razem. Dzień był najkrótszy w roku, najpilniejszy, dzień przesilenia.

Kazimierz, choć strudzony i nie wyspany, wyglądał zwycięsko. Po pierwszych zaraz słowach powitania, wśród nienasyconych spojrzeń, rwących się rąk do uścisków, ogłosił prozostu:

— Odkupiłem kontrakt Jeremiejewa. Mam go w kieszeni, tu.

Obudził radość, jednak nieproporcjonalną do swojej, więc zawołał:

— Nie wiecie, co to jest! To jest Auszra uratowana, to wyzwolenie! moja... pani jedyna!

Krystyna zrozumiała tylko... że on jest zbawcą. Wyciągnęła do niego ramiona i szyję, a on ją chwycił w niecierpliwe objęcia, przytulił głowę jej do wezbranej miłością piersi i całował bez pamięci jej włosy i oczy.

— Ach!—krzyknęła panna Zubowska.

Ksiądz Antoni patrzył na szczęście ziemskie burzliwe, i dobre łyzy niezadzrosne stanęły mu w oczach.

— Chwalcie Boga, moje dzieci!—rzekł, wznosząc ręce.

Chwila była zbyt przesycona wzruszeniami, aż oniemiała wszystkich, zakłopotana. Usiedli naokoło stołu.

— Więc jakże to zrobisz?—pytała Krystyna, gwiazdzistymi oczyma wpatrując się w Kazimierza.

— Zrobiłem. Na szczęście Jeremiejew



nie doceniał wartości tego, co kupił przed pięciu laty. Eustachy Chmara stawiał mu pewne trudności formalne co do wyrabiania, chciał zamienić kontrakt na odpowiedni dług, płacił procenty...

— Widzisz, Krysiu — przerwał ksiądz Wyrwicz — pan Eustachy zajmował się jednak twojemi sprawami; nie można go tak ostro sądzić.

— Niech ksiądz profesor posłucha do końca — ciągnął dalej Kazimierz. — Ledwie, ledwie, żem się nie spóźnił do Petersburga i nie dał się ubiedz komuś, który już uprzednio chciał ten kontrakt nabyć. Proszę zgadnąć, kto taki?

— Sam Chmara?! — zawołała Krystyna.

— Niezupełnie on, ale — księżna Zasławska.

— Ach! ta propozycja Chmary w Wiszunach!

— Tutaj schwytna została przeze mnie na gorącym uczynku — dodał Kazimierz. — Plenipotent księżnej, mający też i pełnomocnictwo Chmary, traktował poprostu z Jeremiejewem o nabycie kontraktu za podwójną cenę kupna. Na szczęście jednak Jeremiejew nie zgodził się, żądał więcej. Ja tymczasem przyjechałem, znając już ocenę Marcza — i dobiłem targu.

— Ileż to wyniosło? przecież mi powiesz? — spytała Krystyna.

— Sto tysięcy rubli, jeszcze trzy razy mniej, niż to warte!

Błogie zdumienie ogarnęło słuchaczy. Ksiądz Wyrwicz zdawał się niedowierzać.

— Ależ, panie Kazimierzu, taka suma! Czy pan zupełnie pewien tej oceny?

— Cenił Marczak, księżę profesorze. Ten człowiek nie myli się wogóle, a tutaj cenił z największą ostrożnością.

— A ileż warta mniej więcej cała puszcza?

— Bez wycofania tego kontraktu — mało. Teraz staje się bogatym i ogromnym warstwą dla kogoś, który to kocha, który chce...

— Dla nas — dokończyła Krystyna.

— Tak, dla nas, moja ty... W każdym razie niema już mowy o grożącej ruinie. A potężny pan Chmara mógł ją tak łatwo usunąć!

Kazimierz otwarcie i radośnie ogłaszał to wszystko. Gdy jednak wspomniał o Chmarze i o księżnej Zasławskiej, nie mógł powściągnąć ironii:

— Pan Chmara, oczywiście, zajęty wielką polityką, nie zdawał sobie dokładnie sprawy ze stanu rzeczy. Lepiej już oceniła go księżna Zasławska; pragnęła przyjść z pomocą przyjacielowi i... zrujnowanej krewnej.

Cisza zaległa; nawet ksiądz Antoni nie znalazł słów na obronę kombinacji Chmary z księżną Zasławską.

Nowa, pogodniejsza zagadka zajęła Krystynę.

— Skądże to mój pan narzeczony nabrał tyle pieniędzy, aby wszystkiemu podołać?

— Mówiłem ci, jakiego mam ojca — odrzekł Kazimierz. — Ojciec zaraz po naszych zaręczynach podał się o najwyższą pożyczkę Towarzystwa Kredytowego, aby nam przyjść

z pomocą; a teraz, gdym mu całą sprawę i nagłość jej przedstawił, pojechał ze mną do Warszawy, użył całego swego kredytu, nosił mi pieniądze garściami. Płaciłem gotówką, przekazami, weksłami, ale zapłaciłem.

— Jutro go zobaczę w Warszawie, prawda? — zawołała Krystyna ze łzą nagłą w oczach.

— Będą rodzice oboje; już wiedzą — odpowiedział Kazimierz.

Jakby przygnębienie padło na wszystkich od nawału tych radosnych nowin. Siedzieli, milcząc, w niewielkim pokoju, oświetlonym jeszcze dwiema świecami, czerwieniącymi coraz bardziej od blasku dnia, który na niebo wstępował promienny. Krystyna wzrok utkwiała w górne szyby okna, wzrok jakby rozmodlony do wschodzącego światła. I rzekła gorącym szeptem:

— Auszra...

Ksiądz zrozumiał i, potakując głową, wznosił ją także w górę, gonił oczyma złotoróżowe blaski na niebie. Ale, spostrzegłszy, że Kazimierz szuka wytłomaczenia, objaśnił:

— „Auszra” znaczy po litewsku: jutrznia.

— Ach tak?! Więc jutrznia nasz!

\* \* \*

Religijny półmrok, pomimo wielu światła zapalonych, panował w kaplicy świętego Kazimierza przy katedrze wileńskiej. Z czarnego marmuru ścian ośmiu srebrnych Jagiellonów spoglądało uroczyste na obrzęd, odbywający się przed ołtarzem, gdzie trumna świętego z ich Familii, zawieszona wysoko, pływała w niebie jasnym, lekko w kunsztownej rzeźbie wyobrażonem. Z bardzo daleka, z sąsiedniej wielkiej nawy katedralnej, dopływał dźwięk organów tyle tylko, aby rozmarzyć modlitwy, płynące rytualnym szeptem w tej pięknej komnacie Bożej i narodowej, siostrze kaplicy Zygmuntońskiej na Wawelu. Mszę świętą odprawiał ksiądz Antoni Wyrwicz.

Bez ujmy dla królewskich wspomnień klęczała para nowożeńców przed stopniami ołtarza na dwóch karmazynowych klęcznikach. Przejmujący był ich piękny spokój; ich młoda powaga biła blaskiem otuchy i nadziei na twarze zgromadzonych towarzyszy i seniorów.

— Kto tak pewny jutra i siebie nawzajem, jak oni? — myśleli młodzi.

— Myśmy dążyli, oni dojdą — dumali starsi.

W pulpitowych ławach, na krzesłach i fotelach, na klęczkach i stojący, ludzie, którzy dzisiaj asystowali ślubom Kazimierza i Krystyny, przyjeźdźni z różnych stron, czuli się tu u siebie, równouprawnieni w dostojństwie, spływającym na nich ze wspólnego ołtarza. Janowie Rokszyccy i Kmitowie, Budziszowie koronni i litewscy odnajdywali tu swe pierwsze wzruszenia młodości, nie zamącone przez nic obcego; Jan Miłaknis stał pod posągami króla, który wyrósł z jego rasy; Franciszek Marczak czytał na marmurze: tu spoczywa serce Władysława IV-go, króla

polskiego. Na chwilę uroczystą, między sercami wzniesionemi była unia wspomnień i unia życzeń dla dobrej młodzi, łączącej się przed ołtarzem nowym związkiem między Koroną i Litwą.

Zauważono ich głosy stanowcze i nie-trwożne, ich mocną i nieprzymuszoną wolę zaprzysiężenia sobie miłości i wiary.

Po dokonaniu obrzędu ksiądz Wyrwicz stanął przy pulpicie od mszału i, zwrócony do obecnych, tak przemawiał od ołtarza, od trumny świętego Jagiellończyka:

— Cieszcie się w Panu, zebrani tu synowie rozległej ziemi! Oto przybywa nam mocna ostoja przyszłości w związku tych dwojga, którzy dożgonnie łączą się dzisiaj przed ołtarzem. Rycerze to są, nie z tytułów tylko odziedziczonych, które, jak wiara, bez uczynków są martwe, rycerze to nowego autoramentu. W miłowaniu i w pracy zakładają cel swój i chlubę swoją; miłośnikami będą obu plemion bratnich, ziemię naszą zdawna osiadających. Wstępując w koło nasze społeczne, nie na wodzów i dyktatorów nam przybywają, lecz aby węzłem swych młodych dłoni pomnożyć i utwierdzić łańcuch ogólny rąk, pilno tu wspólnej ojczyźnie potrzebny.

Mocno mówił ksiądz Antoni, przypominał młodość swą kaznodziejską i duszę odmłodzoną kładł w słowa, dźwięczące miłością i przekonaniem. Nikt z obecnych nie myślał o tem po chwili, jak mówi, lub jak wygląda każący kapłan, poczuli zaś wszyscy jedną gorącą wolę, która, topiąc kruszce serc, pociągała je ku sobie wzajemnie i pociągała razem do pragnień zgodnych i wysokich. Wyszły jakoby z ciał dusze potomków i uskrzydłone niosły się hucem ku wielkim ojcom zapomnianym.

Bo ksiądz nie mówił już o parze nowożeńców, lecz rozszerzał kręgi myśli, budził święte wizye spólnych przez wieki losów, sojuszów, miłością i krwią spieczutowanych, poczętych w zgodzie i w chwale, wypróbowanych w niedoli, wiernych jeszcze do wczoraj.

Aż mówca głos zniżył i jakby go rozsyłał w pokłonie przed głosem większym, którego był tylko heroldem. Wziął z ołtarza kartę, położoną na mszale, i odtąd czytał, nawołując zgromadzonych pamiętnymi słowami testamentu ostatniego z Jagiellonów, Zygmunta Augusta:

— „Przeto prosimy i upominamy, dla Pana Boga i dla dusznego zbawienia, aby wszyscy obywatele tak koronni, jako Wielkiego Księstwa Litewskiego, byli i żyli w jednej wierze chrześcijańskiej jednostajnie, jako Bóg Ojciec z Synem w jednostwie Ducha św. jeden jest. Potem też wszystkich stanów przez Boga żywego zaklinamy, aby, będąc obywatelami tak Korony, jako i W. Ks. Lit., byli jedną nierozdzielną Rzeczpospolitą wedle postanowienia sejmu lubelskiego, teraz dwuletniego, i poprzysiężenia, miłując się braterską miłością, szczerze, prawdziwie, jako jednego ciała członki i jednej nierozdzielnej Rptej ludzie, nic jedni nad drugimi zacnością i dostojnością sobie nie przywłaszczając, chcieli, aby Pan Bóg, który, będąc jednym, w jedności się kocha, długo te Państwa zjedno-



czone pomnażał i wspomagał. Przeto tym naszym testamentem obiemu Państwu, Koronie Polskiej i W. Ks. Lit., dajemy i odkazujemy i zostawujemy miłość, zgodę, jedność, którą przodkowie nasi po łacinie Unią zwali i mocnymi spiski obywatelów obojgo Państwa na wieczność ukrzepili”.

„A który tych dwóch narodów, tę Unię od nas wdzięcznie przyjąwszy, mocno trzymać będzie, tym to błogosławieństwo dajemy, aby Pan Bóg w łasce swej, w szerokim i spólnym panowaniu, we czci i sławie postronnej i we wszystkim dobrem i potrzebnym przed inne narody wystawił i wywyższył. A który zasię naród niewdzięczny będzie i dróg do rozdwojenia będzie szukał, niechaj się boi gniewu Bożego, który ma w nienawiści, przeklinając sięjace niezgodę między bracią. Za którym przekłębem i gniewem Bożym niczego by się inszego nie bać, jedno doczesnego tu, a potem wiecznego zginienia, od którego racz, Panie Boże, zachować, a racz to w tem obojgu Państwie utwierdzić, coś w niem przez Nas sprawił”.

Szedł dreszcz na obecnych od posągów królewskich.

(DN)

RUDYARD KIPLING:

## „Wee Willie Winkie“.

Przekład T. Prażmowskiej.

Przyjął wyrok, jak przystało na mężczyznę. Z drgającą powściąganym płaczem dolną wargą, wyprostowany, jak struna, „salutował” i, wyszedłszy z pokoju ojca, uciekł wypłakać się do swego pokoiku, który stale nazywał „kwaterą”. Popołudniu odwiedził go Copsy i usiłował pocieszyć winowajcę.

— Na odwachu jestem—żałośnie oznajmił Wilus—nie mam prawa rozmawiać z tobą.

Nazajutrz wczesnym ranem, gdy wydrapał się Wilus na dach (to nie było wzbronione), ujrzał miss Allardyn, wybierającą się na konną przejażdżkę.

— Dokąd pani jedzie?—zawołał za nią Wilus.

— Za rzekę—odrzyknęła, puszczając konia klusem.

Na północ od miejsca, gdzie rozłożył się był obozem pułk 195-ty, znajdowała się, wyschła o tej porze roku, rzeka. Od najwcześniejszych lat zakazane miał Wilus przestąpienie łożyska rzeki, i zauważył, że nawet Copsy—choć porucznik i wszystkim niemal magocą—nigdy nie jeździ za rzekę.

Z ogromnej niebieskiej książki czytano też kiedyś Wilusiowi bajkę o księżniczce i o kartach. Śliczna to była bajka! Ciągłe w niej była mowa o wojnie karłów z ludźmi, pokonał wreszcie złośliwe dziwotwory nieustraszonego mąż jeden, nazwiskiem Curdie.

Od owej pory zdawało się zawsze Wilusiowi, że w nagich, widniejących za rzeką górach mieszkają owe złośliwe karty. Mówiono mu przeto zawsze, że mieszkający tam ludzie są niedobrzy. W domu dolna połowa okien zakryta była nawet zielonym papierem, dlatego że „niedobrzy ludzie” gotowi byli celować ze swoich strzelb w spokojne salony i zaciszne sypialnie, gdyby w głąb ich sięgnąć mogli spojrzeniem.

Tak, niewątpliwie: za tą rzeką, na której się kończy świat Wilusia, mieszkają „niedobrzy ludzie”, a tu oto ta duża panna, która należy do Copsy’ego, zamierza wtargnąć w ich siedziby! Coby na to powiedział Copsy? A jeżeli jej się przytrafi co złego? jeżeli naprzykład, tak jak w bajce księżniczka, porwana zostanie przez karty? Nie! Trzeba ją zawrócić! Trzeba, i to koniecznie!

Cichutko było jeszcze w całym domu! Wilus zastanowił się chwilę, myśląc o tem, jak okropnie gniewać się będzie ojciec, poczem wyszedł z odwachu. Była to zbrodnia nad zbrodnię! Nizko stało jeszcze słońce nad ziemią, gdy szedł do stajni, by kazać sobie osiodłać kucyka. Zdawało mu się, że w tej wielkiej ciszy porannej świat zatrzymuje się w biegu, aby patrzeć na Wilusia, który dopuścił się—niesubordynacyi.

Rozespany jeszcze chłopak stajenny podał Wilusiowi kuca, a ponieważ wobec grzechu śmiertelnego powszednie tracą znaczenie, powiedział więc Wilus, że jedzie do Copsy Sahib’a, i ruszył truchtem, tratując miękką ziemię ogrodowych kwietników. Spustoszenia, poczynione przez kuca, były ostatniem przestępstwem Wilusia i w jego mniemaniu pozbawiały go reszty przychylności ludzkiej. Poczem zawrócił z drogi, podał się cały naprzód i, co kuc wyskoczy, popędził w kierunku rzeki.

Najszybszy wszakże z wiatronogich kuców nie może się mierzyć z wyciągniętym klusem wścigowca. Miss Allardyn była już daleko: minęła już warty obozowe, już wierzchowiec jej pozostał za sobą kamieniste łożysko rzeki, gdy Wilus, pędząc za nią, przestąpił granicę obozu, a razem i Indyi angielskich. Ćwicząc kuca szpicrutą, wpadł na terytorium Afganów po to, by ujrzeć, jak miss Allardyn, podobna do czerniejącej w dali plamy, mknie po równinie, zasianej kamieniami.

Przyczyna tej wycieczki była niezmiernie jasna. Copsy, tonem przedwczesnego rozkazu, zapowiedział jej był wieczorem, żeby się „nie wazyła” jeździć za rzekę. Pojechała więc, aby dać narzeczonemu nauczki i pokazać mu, że ma wolę własną.

U samego prawie podnóża niegościnnych gór wierzchowiec jej potknął się i runął na ziemię. Miss Allardyn usiłowała podnieść się, lecz, ciężko stłukłszy kolano, nie mogła powstać z ziemi.

Dawszy tak oczywisty dowód siły woli, płakać zaczęła rześnistymi łzami, gdy wtem ujrzała przed sobą białe, z wielkimi oczami dziecko, siedzące na spienionym kucu.

— Czy panią bardzo boli?—wołał Wilus.—A po co pani tu przyjechała?

— Sama nie wiem, po co—ze strachuu wyznała panienka—ale ty, dziecko, co ty robisz tutaj?

— Pani powiedziała, że pojedzie za rzekę—zeskakując z kuca, tłómaczył Wilus zdyszany—a za rzekę jeździć nie wolno... Nikomu! Nawet Copsy’emu... Puściłem się więc za panią w pogoń, ale pani nie chciała stanąć, a teraz potłukła się pani, i Copsy gniewać się nas będzie, i ojciec także, bo ja... ja uciekłem z odwachu... Z odwachu uciekłem!

I tu przyszył pułkownik 195-go pułku, usiadłszy na ziemi, rozszlochał się na dobre. Pomimo dolegliwego bólu w kolanie, panienka uczuła się wzruszoną.

— Włęcz aż z obozu gonieś tu za mną, małeńki? Dlaczego?

— Bo Copsy mówił, że pani jest jego własna—szlochał niepocieszony Wilus.—Widziałem: całował panią, a mnie powiedział, że panią kocha więcej, niż psy i konie, więcej nawet, niż—*mmie!* Gonieł więc za panią... A teraz musi pani wstać i powracać... Tu nie można siedzieć, bo to miejsce brzydkie, a ja uciekłem z odwachu.

— Nie mogę się ruszyć, Wilusi—jęknęła miss Allardyn—coś mi się zrobiło w nogę... Cóż teraz będzie?

Okazywała gotowość do nowych łez, co widząc, przestał płakać Wilus, wychowywany w przekonaniu, że płacz jest szczytem niemęskości. Gdy się jednak jest tak wielkim, jak on, grzesznikiem, nawet mężczyzna ma prawo okazać się słabym.

— Wilusi—odezwała się miss Allardyn—gdy trochę odpocznesz, jedź napowrót i powiedz, niech tu po mnie przyjdą z lektyką. Okropnie mnie noga boli...

Małec siedział cicho czas jakiś. Miss Allardyn zamknęła oczy, czując, że mdleje prawie z bólu: oprzytomniała dopiero, słysząc, że Wilus zaciął z całej siły szpicrutą kuca, któremu zarzu-

cił na szyję związane razem cugle. Kuc pogalopował w stronę obozu.

— Cóż ty zrobił, Wilusi?

— Pst!—upominał ją Wilus—jakiś człowiek idzie! To pewno z tych „niedobrych ludzi”?... Nie mogłem pani zostawić samej, bo ojciec mówi, że prawdziwy mężczyzna powinien się opiekować kobietami. Kucyk pobiegnie do domu, zobaczą go i przyjdą po nas... Dlatego go puścił.

Nie jeden tylko człowiek, lecz kilku ukazało się teraz z poza skał podnóża, i mocno biło strachem serduszko Wilusia, bo zupełnie tak samo zakradały się karty po księżniczkę: sam widział to na obrazku. Usłyszawszy wszakże, jak rozmawiają z sobą, ucieszył się: poznał bowiem jedno z miejscowych narzeczy, którego się był nauczył od świeżo odprawionego stajennego. Ludzie, mówiący tym językiem, nie byli to chyba owi „niedobrzy ludzie”? To tylko—krajowcy...

Zbliżyli się do głazów, o które potknął się był wierzchowiec miss Allardyn.

Podniósł się wtedy Wilus, dziecko panującego plemienia, mające lat sześć niespełna, i rzucił krótkie, ale stanowcze: *Jao!* A kucyk już był za rzeką.

Roześmieli się na to owi ludzie, a szyderczego śmiechu krajowców nie umiał znieść Wilus. Spytał ich więc wyniośle, czego chcą i dlaczego sobie nie idą *jao*... Ale inni jeszcze ludzie z groźnymi twarzami i w strzelby zbrojni poczęli się wysuwać z poza skał, aż znalazł się Wilus w obecności dwudziestu przynajmniej widzów. A miss Allardyn zaczęła krzyżeć.

— Ktoś ty?—spytał małca jeden z ludzi.

— Jestem synem pułkownika Sahiba i rozkazuję wam odejść stąd, i to natychmiast. Czarni jesteście, i miss Sahib boi się was. A jeden z was niech idzie do obozu zanieść wiadomość, że miss Sahib stłukła się w nogę, a syn pułkownika czuwa tu nad nią!

— Nogę wsadzić w żelaza?—zadrwili w odpowiedzi—słyszycie wy, co ten chłopiec mówi?

— Powiecie, że to ja was przysłałem, *ja*, syn pułkownika. Zapłacę temu, który pójdzie.

— Na co gadać tak wiele? Brac dziecko i dziewczynę! Będzie za co żądać okupu—odezwwał się głos jeden.

A więc byli to „niedobrzy ludzie”, gorsi od karłów w bajce, i Wilus potrzebował całej umiejętności panowania nad sobą, wpojonej mu przez wychowanie, aby się nie rozplakać ze strachu. Czuł jednak, że rozplakać się przed kimś z krajowców (z wyjątkiem, ma się rozumieć, mamusinej *nyah*) byłoby nikczemnością, czemś od niesubordynacyi gorszem. Co więcej, jako pułkownik 195-go pułku, miał mężny ten pułk w odwodzie.

— Chcecie więc zabrać nas z sobą?—zapytał spokojnie, choć z mocno pobladłą twarzą.

— Tak, mały *Sahib Bahadur*—odparł najwyższy z napas’ników.—Chcemy was zabrać i zjeść!

— Gadanie!—odrzucił Wilus—mężczyźni nie jadają mężczyzn.

Głośny wybuch śmiechu przerwał mu mowę, ale on ciągnął dalej nie zmieszany:

— A jeżeli nas uprowadzicie, to zapowiam wam, że cały mój pułk rzuci się na was i odrazu wszystkich wybije... Co do jednego! Kto zanieś moje poselstwo do pułkownika Sahiba?

Jeden z krajowców wmieszał się teraz do rozmowy, wołając:

— O, nierozumni wy ludzie! Prawdą jest, co mówi to dziecko! On jest sercem serca białych żołnierzy... Jeżeli wam spokój miły, puście tych dwoje, bo, jeżeli się co dziecku stanie, to pułk zwali się na was i zaleje całą dolinę. A wasze nasze leżą tutaj, w dolinie, nie to, co wasze gdzieś w górach. Ten pułk to dyabły wcielone... Gdzież my się podziemy przed nimi? Jeżeli zabierzemy dziecko, strzelać zaczną i pładować będą choćby i miesiąc cały, aż w końcu nic nie zostanie. Lepiej posłać którego z wieścią i wziąć nagrodę! Powiadam wam, że to dziecko jest dla nich bogiem i, jeżeli mu wyrządzimy co złego, to nikomu z nas nie darują: mężczyźni ani kobiecie.

Tak wołał Din Mohammed, odprawiony ów stajenny pułkownika. Słowa jego wywołały gniew-



na i gwałtowną sprzeczkę. Wiluś, stojąc przy boku miss Allardyn, czekał, co z tego wyniknie. Pewien był wszakże, że jego *pult*, jego *własny pult* nie opuści go w potrzebie.

Kucyk z siodeł bez jeźdźca gońcem był złej wieści, choć i bez tego już w domu pułkownika od godziny panował niepokój. Kucyk biegł sobie przez plac parady, tuż pod barakami, gdy ujrzał go sierżant kompanii *E* i, rzuciwszy okiem na opróżnione siodełko, wpadać jął do jednego baraku po drugim, krzycząc:

— Wstawać, próżniaki! Synowi pułkownika coś się stało!

— Nie spadł z kuca... Dalibóg, nie mógł spaść!—wstrzymując się od płaczu, upewniał mały dobosz.—Szukajcie za rzeką. Tam panicz jest z pewnością... A może go już te pogany złapały? Za rzekę ruszajmy!

— Ten smarkacz ma rozum—zdecydował sierżant.—Kompania *E*, za rzekę, marsz!

I kompania *E*, nie zdążywszy wdziąć mundurów, pognąła przyspieszonym marszem, a za nią biegł sierżant i, cały potem oblany, zaklinał żołnierzy, aby jeszcze przyspieszyli kroku.

W obozie całym wrzało, jak w ulu. Pułkownik, dosiadłszy podanego mu konia, dopędził kompanię *E*, już potykającą się o kamienie łożyska rzeki.

I w stronę gór, tam, gdzie „niedobrzy ludzie” spierali się z sobą o Wilusia, padł znienacka strzał pierwszy.

— A co, nie mówiłem?—krzyknął Din Mohammed—jest ostrzeżenie! Oddział już w drodze, a może i pułk cały... Uciekajmy! Niech nas tu nie zastaną przy dziecku.

Chwila jeszcze, a gdy padł strzał drugi, zniknęli w górach równie nagle, jak się byli ukazali.

— *Pult* już idzie!—zwierzył się Wiluś miss Allardyn—i wszystko już dobrze. Niech pani nie *placze*.

Sam potrzebował takiej rady, bo, gdy w dieście minut później dopadł ojciec do niego, Wiluś, z główką, na kolanach miss Allardyn ukrytą, wypłakiwał łzy, tak długo przez dumę powściąganą.

Z radosnymi okrzykami nieśli go do domu żołnierze. W drodze spotkał ich Coppy, który nadleciał na białym od piany koniu i, ku wielkiemu

oburzeniu „mężczyzny”, wyczałował go publicznie i jawnie, w oczach wszystkich żołnierzy *calego pultu!*

Znalazł się jednak balsam na obrażoną jego godność. Ojciec zapewnił go, że nie tylko puszcza w niepamięć ucieczkę z odwachu, lecz jeszcze przywraca mu „galonik”, który mamusia przyszyje *zaraz* na rękawie bluzki. Radością przejęły serce ojca powtórzone przez miss Allardyn słowa Wilusia.

— Wiedziałem, że ona twoja, Coppy—mówił Wiluś, wskazując na miss Allardyn niefkoniecznie czystym paluszkiem.—Wiedziałem, że nie powinna jechać za rzekę, i wiedziałem, że, gdy odeślę do domu kucyka, to cały pułk przyleci *zaraz* po mnie.

— Bohater z ciebie, Wilusiu—wołał Coppy—bohater, co się zowie!

— Nie wiem, co to jest bohater—wyznał Wiluś—ale nie można mnie już nazywać *Wee Willie Winkie*. Nazywam się Percival William Williams.

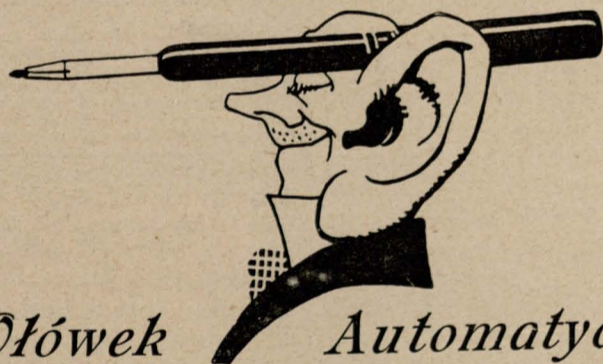
I takim to sposobem „Wee Willie Winkie” został—mężczyzną.

NADESŁANE.

SKŁAD FABRYCZNY **BRACI THONET** Warszawa, TELEFON 20-29  
MEBLI GIĘTYCH Marszałkowska 141

KOMPLETNE URZĄDZENIA APARTAMENTÓW, WILL, TEATRÓW, zakładów gastronomicznych, klubów, etc. Wielki wybór GOTOWYCH SALONÓW, JADALNI, SYPIALNI i t. p. na składzie.

**KALODONT**  
Niezbędny krem do zębów  
Utrzymuje zęby biało, czysto i zdrowo.  
Żądać wszędzie



Ołówek Automatyczny

**Penkala**

WYRÓB KROACKIEJ FABRYKI W ZAGRZEBIU—jest wynalazkiem nadzwyczaj ciekawym, nie wymaga ani TEMPEROWANIA, ani wykręcania. Ołówki kolorowe niebawale CIENKIE I TRWAŁE. ELEGANCKIE proste i nie do zużycia. Do nabycia wszędzie. CENA 50 kop.

Główni reprezentanci na Cesarstwo i Królestwo Dom Handlowy *Nachtlicht* i Kamieński  
Warszawa, *Tłomackie Nr 1*, Telefon 17-71,

**G. G. LARDELLI** CUKIERNIE  
Fabryka Czekolady  
Boduena 5, Nowy-Świat 27, Marszałkowska 68.

KSIEGARNIA FR. RACZKOWSKIEGO W LUBLINIE, Krak.-Przedmieście 36  
przesła na własność GEBETHNERA I WOLFFA.

Wyższa cechowa Szkoła Kroju  
L. SKWARECKIEJ,

egzystująca lat 21. Dyplomy: paryski, wiedeński. Kurs niższy 25 rb., wyższy 75 rb., bielizniarstwo 25. Pracownia wykonywa: Suknie, Okrycia pod kierunkiem byłej krojczyni pierwszorzędnych firm warszawskich i zagranicznych. Kursy wieczorne dla pracujących.

Plac Św. Aleksandra 11. Tel. 130-18.

**C. Skoryna**

Fabryka maszyn i kamieni młyńskich budowa młynów, Turbin, Transmisyj i t. p.

Warszawa-Praga

OLSZOWA 14, Tel. 49.

MAGAZYN KRAWIECKI  
**SZWAŁBE SACHS**  
ANGIELSKIE PALTA I GARNITURY  
GOTOWE I NA OBSTALUNEK  
SENATORSKA 8. TELEFON 67.17

**Księgarnie Gebethnera i Wolffa**

W WARSZAWIE,

Krak.-Przed. 15 Nowosienna 9  
pośredniczą

w prenumeracie pism

krajowych i zagranicznych

po cenach redakcyjnych.



ZUZANNA RABSKA

Zanim światła pogasną Rb. 1.60

Do nabycia we wszystkich księgarniach. Skład główny w Księgarni GEBETHNERA I WOLFFA w Warszawie.

**SRODKI do ZĘBÓW**  
ELIKSIR, PROSZEK i PASTA  
Ojców  
**BENEDYKTYNÓW**  
Opactwa SOULAC  
WAŻNA UWAGA:  
Flakony eliksiru Benedyktynów nie opatrzone plombą komory celnej rosyjskiej powinny być uważane za podróbione.  
MODEL FLAKONU



## ODPOWIEDZI

I RADY POUFNE DLA PAŃ.

*Prenumeratorce z Galicyi.* Gdyby Pani uważniej przeglądała dział Odpowiedzi, zauważyłaby bezwątpienia, że kilka razy już zwracaliśmy uwagę zamieszkałych w Galicyi, jako środki, przez nas zalecane, znajdując się na składzie we Lwowie u E. Pawłowskiego, ulica Sykstuska 43. Sprowadzanie wprost z Warszawy pociągnęłoby zbyt wielkie koszty.

*Aleksandrze Zofii T.* Nikłe formy biustu dadzą się doprowadzić do pożądanego stanu specjalnym aparatem masażowym przy równoczesnym namaszczeniu płynem, zwanym *Lait d'Apy*. Bliższe informacje listownie, przy podaniu dokładnego adresu.

*Teofili M.* Czerwone ręce, uszy, jeżeli były odziębione, zupełnie doprowadzi do pierwotnego stanu *Gelurine*, nawet bardzo zadawnione. Dokładny przepis dołączany bywa do preparatu. Radykalnie niszczy łupież i powstrzymuje wypadanie włosów *Tetral*, rozdwajające się włosy na końcach leczy skutecznie olejek *Hel*, przy jednoczesnym myciu głowy mydłem *Alkalicznym*. Usta barwi nieznacznie, nieszkodliwie i trwale, to jest na cały dzień, *Roseine Ponsarda*, woda i ślina barwy nie zmyje.

*Parafiance.* Wspaniałe gorsety, prawdziwie paryskie, w cenie praktykowanej u nas, wysła pocztą firma Dutoit przy ulicy Wierzbowej 8. O sposobie brania miary samej sobie porozumieć się trzeba listownie. Dla tak wrażliwej skóry, jak pani opisuje, nadaje się jedynie mydło *Neutralne* lub płynne *Glicerynowe*. Na noc namaszczać twarz *Abaridem*, który doprowadzi cerę do życia, uchroni przed tworzeniem się zmarszczek. Żółte plamy zniszczy krem *D-ra Orgley*.

*A. W. w Krakowie.* W przeciagu tygodnia najbardziej zniszczone ręce będą miękkie, jak aksamit, przy używaniu na noc *Pâte de Prélats Ponsarda* i kosmetycznych rękawiczek nie nasycanych.

*Artystce.* Najskuteczniej po charakterystyce zmywać twarz kremem *Psyche*, który cokolwiek drożej kosztuje, niż masło kakaowe, a nie żółci skóry i jest przyjemniejszy w użyciu. Można tym kremem robić podkład pod puder na scenę. Węgry wymywa na poczekaniu *Pureol*.

*Do wszystkich.* Zalecane przez nas środki zawsze mają na składzie i wysyłają pocztą perfumerye: *Paszkowski* Marszałkowska 109 i *Perfection* Szpitalna 10. Na prośbę osób interesowanych w pseudonimie, zamieszczanym pod odpowiedziami, opuszczamy pierwszą literę, podpisując obecnie.

Mme Ercédès.

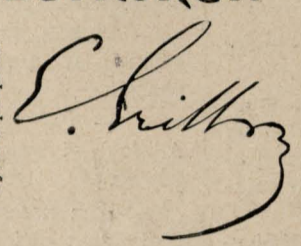
## BOROL

na porę zimową uznano za najlepszy ze środków, chroniących skórę rąk i twarzy od opierzchania.

PASTILLES  
DE  
**TAMAR  
INDIEN  
GRILLON**  
PARIS, 33, RUE DES ARCHIVES.  
We wszystkich składach aptecznych i aptekach.

Owoc przeczyszczający  
PRZECIW  
**OBSTRUKCYI**

Sprzedaje się w pudełkach po 12-cie pastylek i pół-pudełkach po 6 pastylek z podpisem



Najlepsza Pasta do Obuwia H. Trembińskiego „INTRYGANT” żądać wszędzie

**W. CYBULSKI i S-ka** Telefon 60-29  
Warszawa, Trębacka Nr 9, dawniej Nowo-Senatorska 7.  
Wyroby Siodlarsko-Rymarskie i Sportowe.

Wyłączna reprezentacja na Królestwo Polskie

SKŁADY NUT  
GEBETHNERA I WOLFFA

W WARSZAWIE

Nowo-Sienna 9 (róg Zgoda) Krakowskie-Przedmieście 15

Polecają

WIEDEŃSKIE tanie wydawnictwa  
nutowe w tomach  
„UNIwersal-EDITION”

Dzieła kompletne klasyków w najnowszym opracowaniu, jak również kompozycje **Richarda Straussa, Maxa Regera i wielu innych** w układzie na wszystkie instrumenty oraz do śpiewu.

„Universal Edition” zastępuje niemieckie wydania Petersa, Litolffa i inne.

Wyłączna reprezentacja na Królestwo Polskie

OD ADMINISTRACYI.

Pochlebnie wyróżnioną przez ogół krytyki heliografię z obrazu Krzesza: „Ostatnie akordy Chopin'a (40 × 30 centym.) wysyłamy prenumeratorom *Tygodnika Ilustrowanego* w cenie po rubli 5, do dnia 1-go stycznia r. p. Cena następnie będzie podwyższona.

**GEBETHNER  
i WOLFF**  
PIANINA I FORTEPIANY  
W WARSZAWIE  
KRAK.-PRZEDM. 17



**LUDWIK SZUFA  
KRAWIEC**  
KRAKOW TELEFON 671

**HENRYK MICHAUX**  
LEKARZ DENTYSTA Foksal Nr 15.  
Telefon 69-80.

Oprócz wszelkich Zabawek ogólnie znanych  
MAGAZYN FRANCUSKI (BERGA 8) poleca:

## AEROPLANY

różnych systemów, ELEKTRYCZNE ZABAWKI,  
Pokojuwe TIRS AUX PIGEONS, dziecinne  
PŁUGI i BRONY, SANKI, MASZYNY do PISANIA,  
oraz PRZYBORY do KOTYLIONA i t. p.

Wydawnictwo Gebethnera i Wolffa  
w Warszawie:

**Modest Maryański**

Przewodnik polsko-angielski.

Słownik polsko-angielski

dla wychodźców polskich i przybyszów  
do Stanów Zjednoczonych Ameryki  
Północnej i Kanady, ułatwić mający  
stwierdzenie kroków pierwszych w kraju  
obcym i naukę języka angielskiego  
z podaniem wymowy i brzmienia każ-  
dego wyrazu angielskiego według me-  
tody fonetycznej, z dołączeniem nie-  
których uwag, rad i wskazówek. Wy-  
danie 2. W oprawie rb. 1.20.  
Do nabycia we wszystkich księgarniach.

**SALON „ARS”**

Kraków, ulica Św. Jana 1 (I piętro).

Nieustająca wystawa dzieł sztuki i sprzedaż obrazów najznakomitszych artystów polskich. Salon otwarty codziennie od 10 do 1 i od 2 do 5.

**VENUS** puder uznany na wystawach higienicznych jako nieszkodliwy i polecany dla PAŃ jako najlepszy puder krajowy.  
**AGATOL** proszek, eliksir i pasta do ZĘBÓW o silnym aromacie i własnościach przeciwnie-  
**FARBA GRECKA** najlepsza do farbowania włosów. Cena pudełka 2 i 3 rub.  
Poleca Laboratorium St. GÓRSKIEGO, LESZNO 12, Telefon 52-34. Żądać wszędzie.

**PIEGI** przyszcze, plamy usuwa crem VENUS idealnie skuteczny środek.

**L. Lipiński** {Magazyn i Fabryka Wyrobów Jubilerskich Tel. 75-12. } Brylanty, kolorowe kamienie i perły oraz biżuteria złota i srebrna w najnow-  
{WIERZBOWA Nr 7 (plac Teatralny) w Warszawie, } szych fasonach. Srebro stołowe, gładkie i stylowe. Firma egz. od 1875.

**Bracia ŁOPIEŃSCY** POLECAJĄ **BRONZY** SALONOWE I KOŚCIELNE MAGAZYN KRAKOWSKIE PRZEDMIEŚCIE Nr 15 Tel. 21.90

Redaktor: Dr JÓZEF WOLFF

Wydawcy: GEBETHNER I WOLFF

Redaktor przyjmuje we czwartki i piątki, od godz. 1 do 2.—Rękopisów pomniejszych i materiałów rysunkowych, nadesłanych do redakcji, nie zwraca się.

Druk Piotra Laskauera i S-ki, Warszawa.